ŚWIAT

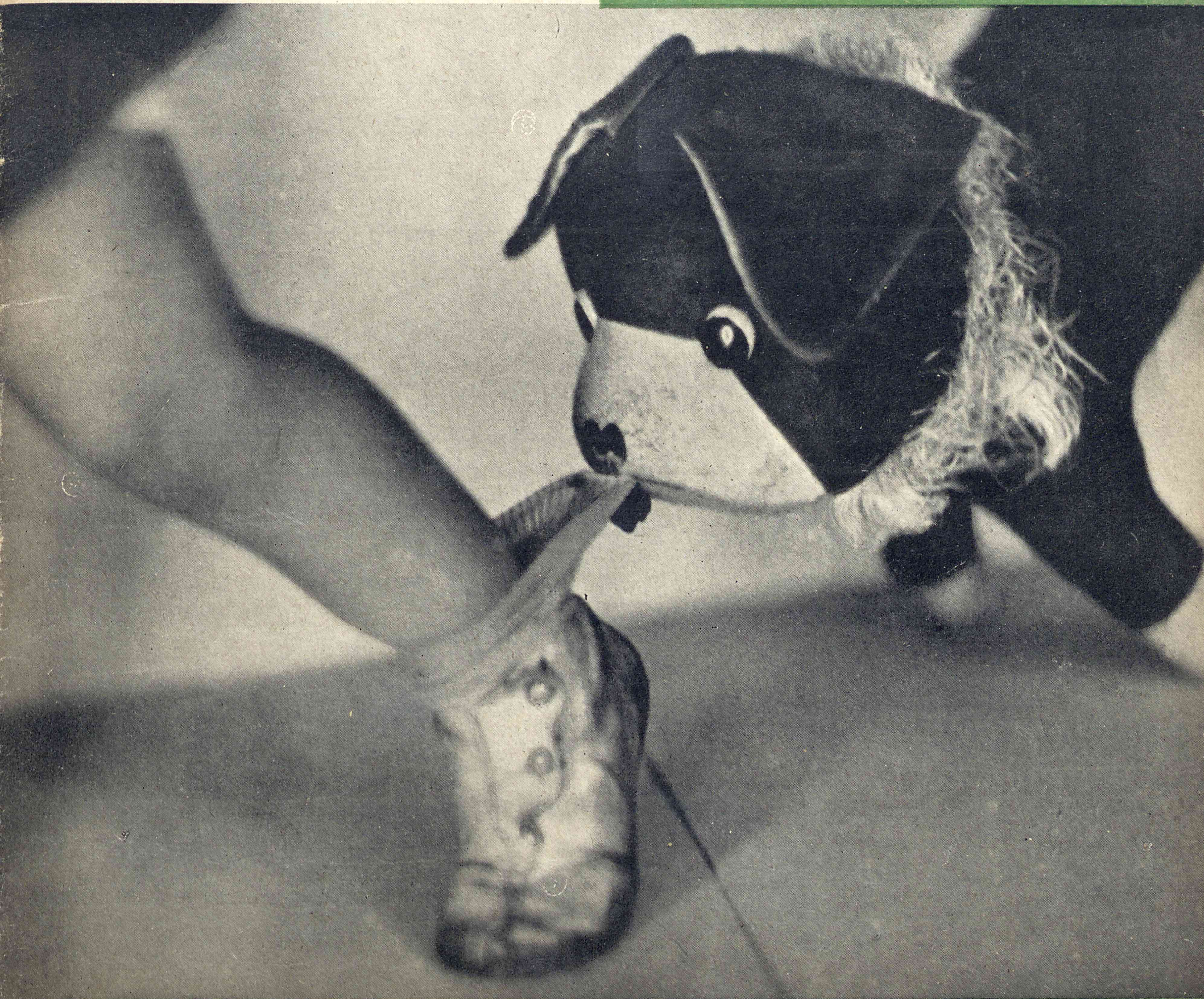
REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 50. 15 GRUDNIA 1934 ROKU

RATUNKU! CO ZA ZWIERZ!

Fot. Hoffman

CENA 1 ZŁ.



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 50 15.XII.1934

ROMAN ZRĘBOWICZ

NIEDYSKRECJE LITERACKIE

Nowoczesna twórczość literacka — to właściwie jedno panopticum niedyskrecji. Ostatnie wspaniałe przejawy dyskrecji dżentelmeńskiej w literaturze francuskiej XVII w. należą, zdaje się, do czasów bezpowrotnych. Dwa wielkie prądy XIX w., realizm i naturalizm, przeorały gruntownie całą wrażliwość czytelnika i zmieniły radykalnie jego dotychczasowe kryterja. Wreszcie reportaż powojenny, zarówno prasowy, jak i książkowy, uczynił z dyskrecji cnotę przestarzałą i nieomal komiczną. Nawet krytyce powojennej, piszącej o zmarłych autorach, chodziło tylko o odświeżenie i ufryzowanie pogrzebanej, zapomnianej lub zniekształconej niedyskrecji. Powstało w ten sposób nowe piśmiennictwo krytyczne à la vie romancée, jedno wielkie plotkarjum, jakby powiedział Irzykowski, nietylko konserwujące, ale także odmładzające najbardziej nietykalne relikwje literackie.

Jak więc widzimy, niedyskrecja jest źródłem natchnienia, bodźcem, nerwem i duszą wszelkich poczynań literackich. Takie jest hasło epoki, czyli znak czasu, a względnie hałas czasu. Chcąc, nie chcąc, musimy się doń przystosować. A zresztą w dzisiejszym feljetonie nie będę mówił, co piszę sam, raczej podam, co piszą inni. Pragnę tylko zwierzyć się na temat, co czytam i jak czytam. Bo, jak powiada Nietzsche, człowiek zapomina o swej winie, kiedy się z niej wyspowiadał przed innymi, ale nie zapomina o niej zwykle ten inny. I to właśnie jest niemałą pociechą w mojej obecnej udręce... A więc bądźmy wszyscy niedyskretni i podajmy sobie ręce. O, przepraszam mimowiednie wymknął mi się rym. Znakiem tego, jakby powiedział Wiech, panuje między nami rytmiczna zgoda i harmonja.

Oczywiście, tak! jesteśmy wszyscy do siebie podobni. Żyjemy przecież w tej samej epoce Foxa, Paramountu, katastrof, skandali, tempa, rekordu, aktualności. — Przedewszystkiem aktualności, która jest duszą i krwią niedyskrecji. Żadna epoka literacka nie była tak mocno, tak łakomie zakochana w aktualności, jak obecna. Gdzie tylko zwrócić oko i ucho, ma się wrażenie, że w tej chwili widzi się wymierzoną na siebie kamerę operatora kinematograficznego z napisem manjakalnem: Oczy i uszy świata i równocześnie rozbrzmiewa głos megafonu: „Halo! halo! tu polski tygodni Fox podaje ze wszystkich stron świata najnowsze aktualności". Poczem przy dźwiękach amerykańskiego marsza ukazują się w szybkiem tempie obrazy: trzęsienie ziemi w Kalifornji, ślub wybitnej księżniczki, pogrzeb chicagoskiego gangstera, mecz bokserski o championat świata, procesja Bożego Ciała, karkołomne ewolucje na brzegu rusztowania 28-piętra.

Nie innym jest kalejdoskop lektury u współczesnego czytelnika. A więc przedewszystkiem aktualność! Np. Cyprjan Norwid? Co?

Jak? Norwid?! Czyżby Norwid był aktualny? Niemożliwe! A jednak tak jest. Wyszła edycja Piniego, również książka Zygmunta Wasilewskiego, niebawem ukażą się prace Cywińskiego, Arcimowicza i innych. Rzadko kto czyta poetę, a mimo wszystko zainteresowanie Norwidem rośnie.

Jak to się dzieje? Kto tę reklamę podtrzymuje?

Skandal, skandal jeden za drugim, ustawiczne procesy sądowe, napaści i inwektywy, artykuły godne prasy brukowej. Już tak długo patrzę na to z najwyższym niesmakiem.

Ale poco się wzruszać? Lepiej prostolinijnie pomyśleć: pech ścigał Norwida za życia i pech znęca się nad nim po śmierci.

Zresztą, jak sam Norwid pisał— dziś nie szuka nikt Piękna... żaden poeta — żaden sztukmistrz, amator, żadna kobieta, dziś szuka się tego, co jest powabne, i tego, co jest uderzające! Powab i grzmot!

Ale dość!... Sięgnijmy po inną aktualność, wydaną przed kilku dniami i tłomaczoną na obce języki. Okładka mocno bije w oczy: autor — W. B. Pitkin, prof. uniw. Columbia w Nowym Jorku. Tytuł: „Życie zaczyna się po czterdziestce". Książka niewątpliwie „uderzająca". Słowo „życie" uderza jak grzmot, słowa: „zaczyna się po czterdziestce" z całym powabem zapraszają do lektury. Czytam:

„Ci, którzy mają lat czterdzieści, nie wiedzą może o tem, że są najszczęśliwszem pokoleniem. Niebawem dowiedzą się, jakie ich po czterdziestce czekają korzyści, których szczegóły podam z niekłamanem uczuciem zazdrości. Na ich cześć świat zmienił swój charakter. Człowiek czterdziestoletni będzie mądrzejszy i więcej zadowolony z życia, aniżeli ten, który ma lat trzydzieści. Pięćdziesiątka będzie miała przewagę nad czterdziestką, jako wiek większej jeszcze równowagi życiowej, bystrzejszego sądu i pewności decyzji. Okres sześćdziesiątki będzie przeznaczony na wycieczki samochodowe do Meksyku, na nowe wycieczki morzem, wreszcie na nowe obliczenie zysków, które przyniesie posiadłość ziemska".

Wreszcie ten groteskowy uczony nowojorski, wyróżowawszy starość i nałożywszy na jej łysą głowę platynową perukę, tupie nogą jak źrebak i oświadcza kategorycznie: „Tak jest, tylko ludzie głupi umierają młodo". Okazuje się więc podług opinji amerykańskiego profesora, że n.p. Raphaël, Byron, Keats, Puszkin, Bennington, Heine, Rimbaud, Chopin, Słowacki i tylu, tylu innych, którymi ludzkość się chlubi, byli poprostu głupcami, gdyż w kwiecie wieku umarli.

Oto, jakie są konsekwencje, gdy grzmot i powab decydują o powodzeniu i wyborze lektury.

Sprawa upadku smaku jest rozstrząsana we wszystkich krajach Europy. Wypisano już na ten temat całe sterty ankiet, artykułów, kwestjonarjuszy, polemik. Jedni obarczyli odpowiedzialnością czytelników, inni zaś pisarzy. A tymczasem estetyka amerykańska przy pomocy filmu kształtowała i kształtuje smak szerokich rzesz czytelników, oparty na tych dwóch tak świetnie przez Norwida wyrażonych kryterjach — powab i grzmot. Grzmot, to ryczący lew electro - Goldwyn - Mayera, to dziki okrzyk Tarzana zawieszonego bez ogona na gałęzi — powab zaś — to platynowe girlsy z Broadwayu, to sfatygowana tajemniczość Grety Garbo, to jachty z Miami, jazzbandy z Kuby, hotele i pałace nowojorskie.

Czyż więc możemy żądać od czytelnika wychowanego na takiej estetyce smaku, by sięgnął po książkę Norwida czy Żeromskiego? Po filmie amerykańskim mogą iść tylko powieści Wallace'a, Eleonory Glyn, Oppenheima, lub co najwyżej Jacka Londona i Curwooda.

Zresztą wyobraźnia demokracji była zawsze rozmiłowana w motywach romantycznych. Rozumieli to doskonale Victor Hugo, Dumas, Sue, Montepin, oraz ta cała plejada autorów sensacyjnych powieści, których tak płodnie starał się zwalczać Kraszewski.

Dziś ten głód romantyczny zaspakaja Ameryka. A New Jork, jak powiada E. Trinkwater, b. interesujący autor świeżo wydanej powieści „Juan w Ameryce", jest twierdzą romantyzmu. Romantyzm zaś współczesnej demokracji, jak go trafnie określa autor Juana, to nieostrożność, która ma zachęcające pozory, to warjacki optymizm, pęd do piękna —bez pojęcia, czem piękno jest właściwie, to szaleńczy sentymentalizm, nieuleczalna skłonność do ucieczki przed życiem codziennem, tęsknota za niewiadomo jakiem barwnem widowiskiem, to wreszcie dziecinna konieczność skosztowania wszystkiego, co wygląda na kwaśne, słodkie, stęchłe, ostre, czy triple - sec — wszystkiego, co nie jest zwyczajne i zdrowe. I właśnie tę całą gamę oskomy romantycznej współczesnej demokracji zaspakaja estetyka amerykańska. Zwalczać ją można tylko jakimś sztucznym Kraszewskim. Ale ten nowy Kraszewski musiałby posiadać wyobraźnię Dumas'a, patos historyczny W. Hugo, plastykę Sienkiewicza, zdolności detektywistyczne Conan Doyle'a, sentymentalizm Eleonory Glyn i talent kompozycyjny wielkich reżyserów Hollywoodu.

Druga przyczyna wynaturzenia smaku, to upadek krytyki literackiej. Z tego powodu czytelnik współczesny przestał się zupełnie orjentować. Dla przykładu zacytujmy wypadek najświeższy. Ostatnio wyszedł „Nurt" Berenta. Jest to rodzaj opowieści historycznej, przedstawiającej Polskę z końca XVIII i początku XIX w., a więc z okresu najmniej znanego i najbardziej frapującego. Berent ujął tę rzecz niezmiernie głęboko, wżywając się kongenjalnie zarówno w myśl, jak i styl ówczesnej epoki. Tymczasem jeden z krytyków starszego pokolenia, a więc wychowany w okresie, w którym obowiązywała umiejętność wżywania się w perspektywy historyczne, zaatakował ostro „Nurt" Berenta — i wiecie w imię czego? W imię aktualnej teraźniejszości.

I czy myślicie, że ktoś z fachowych krytyków lub literatów ujął się za wielkim i samotnym pisarzem? Bynajmniej! Uczynił to człowiek stojący jak najdalej od giełdy literackiej, co więcej, były minister Skarbu, a uczynił to z takim taktem, finezją i bystrością krytyczną, że nie mogę się powstrzymać od zacytowania jego głównych myśli:

„Cała ta książka — pisze obrońca Berenta — wypełniona jest troskliwem badaniem, *jak wielkość przełamuje się poprzez małość*, jak staje się owa tajemnicza prawda, że z zawsze codziennego, zawsze, nawet na polu bitewnem, przyziemnego życia ludzi, ludzi tylko — wyłania się *nurt*, biegnący później własną siłą, wedle własnych praw, przelewający się przez mogiły twórców, bujniej niźli kiedyś przelewał się przez ich piersi. Berent próbuje z drobnych, najdrobniejszych nieraz spraw odczytać, jak staje się *historja*, nie między ludźmi, lecz *w człowieku samym*".

UCZONY—GŁOWĄ PAŃSTWA

Nauka polska, a zarazem cały kraj obchodzą rzadki jubileusz 30-lecia pracy naukowej Głowy Państwa Prezydenta Prof. Ignacego Mościckiego.

Polska jest jedynem państwem w Europie, mogącem poszczycić się tem, że jej najwyższy dostojnik jest równocześnie wielkim uczonym, o wszechświatowej sławie.

Pracę naukową rozpoczął P. Prezydent przed laty trzydziestu, publikując pierwsze swoje dzieło p. t. „Badania nad wytrzymałością dielektryków". W badaniach swoich poświęcił się przeważnie zagadnieniom technologicznym, związanym ściśle z istotnemi potrzebami gospodarczemi kraju. Głównemi Jego zainteresowaniami są tematy z zakresu chemji nieorganicznej, elektrochemji, elektrotechniki i elektrofizyki, oraz przeróbki ropy naftowej i gazów ziemnych.

Pierwszym, doniosłym owocem pracy naukowej było opracowanie metody i aparatury dla produkcji kwasu azotowego z powietrza. Wynalazek ten powołał do życia kilka zagranicznych fabryk. Następnie P. Prezydent opracował metodę produkcji cjanowodoru z azotu i węglowodorów w piecu o wirującym płomieniu elektrycznym.

Najintensywniejszy okres działalności P. Prezydenta przypada na lata, gdy obejmuje katedrę na Politechnice Lwowskiej. Dzięki Jego energji powstaje we Lwowie instytut badań naukowych i technicznych „Metan", przemianowany następnie na „Przemysł Chemiczny".

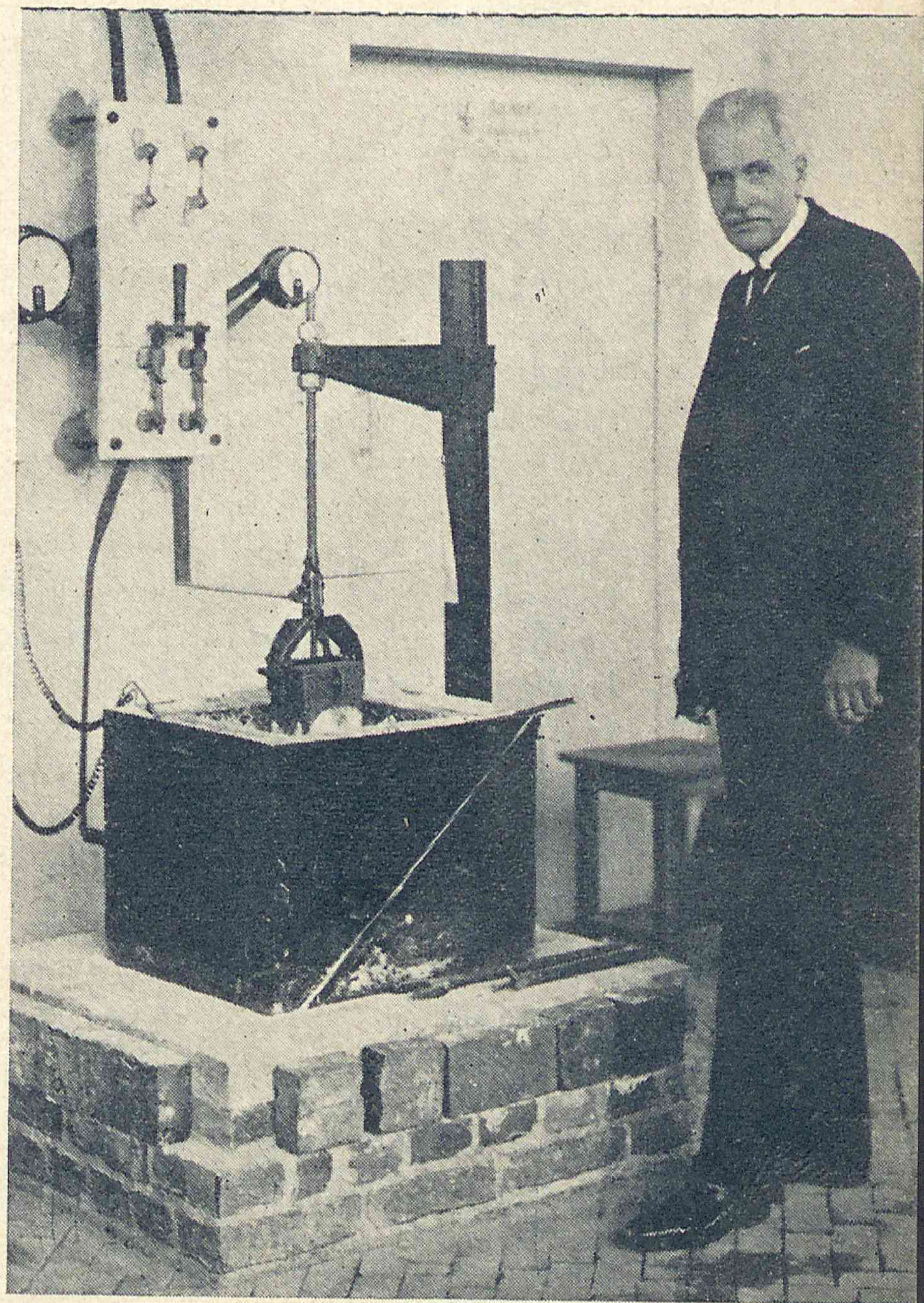
W 1917 r. rozpoczyna P. Prezydent budowę fabryki „Azot" dla produkcji kwasu azotowego i cjanowodoru w Jaworznie, a w 1922 r. przejmuje imieniem rządu fabrykę związków azotowych w Chorzowie. Uruchomienie tego kolosa przemysłowego stanowi jedną z najbardziej chlubnych kart w życiu P. Prezydenta.

Objąwszy ster nawą państwa, nie zarzuca pracy dla nauki. Buduje fabrykę związków azotowych w Mościcach i dokonuje epokowego wynalazku, jakim jest t. zw., „powietrze górskie", mającego olbrzymie znaczenie dla lecznictwa. Pierwsza aparatura „powietrza górskiego" czynna jest na Zamku, kilka innych znajduje się w stadjum budowy.

Olbrzymie zasługi P. Prezydenta przyniosły doniosłe zdobycze nauce polskiej, a nazwisko Jego wpisały na listę najpoważniejszych uczonych ludzkości.

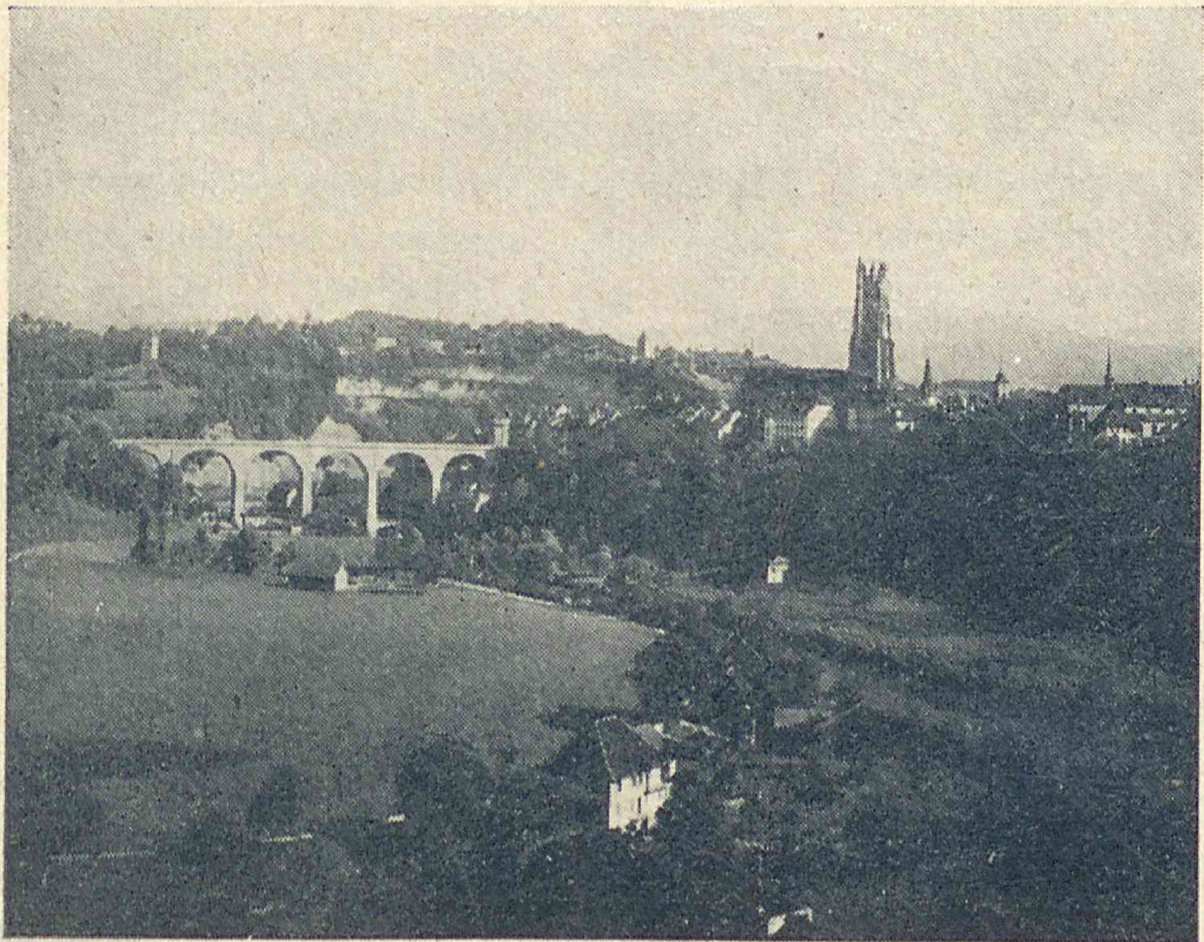


Prof. Ignacy Mościcki, Prezydent Rzplitej Fot. Jan R



P. Prezydent w Chemicznym Instytucie Badawczym na Żoliborzu przeprowadza swe doświadczenia naukowe.

Fot. Pikiel



Widok Fryburga w Szwajcarji, którego uniwersytet nadał P. Prezydentowi tytuł Profesora Honorowego.

Obok: Inauguracja biustu P. Prezydenta i nowych pawilonów Politechniki Warszawskiej. Fot. Jan Ryś



STANISŁAW NIEWIADOMSKI

Słowo wstępne, wygłoszone w dniu 9 grudnia w Filharmonji, na koncercie poświęconym twórczości

PIOTRA MASZYŃSKIEGO

Jedną z najpiękniejszych, rdzennie warszawskich postaci był Piotr Maszyński. Świat śpiewaczy nigdy jej zapomnieć nie może, gdyż cała Polska patrzała na nią przez pół wieku z uznaniem, czcią i miłością, przyszłość zaś znajdzie w niej zawsze niedościgniony wzór poświęcenia się dla sztuki i społeczeństwa, ukochania jej i szerzenia naokół. Gdyby tylko jedno po sobie dzieło zostawił, t. j. „Lutnię", już miałby niezaprzeczone prawo do wdzięcznej pamięci i dziejowej chwały. Założył ją niegdyś przed laty, kształcił, rozwijał, ku ideałom artystycznego piękna prowadził, patrjotycznym napełniał duchem; a praca ta promieniowała na całą Polskę, zupełnie o polityczne granice trzech zaborów nie troszcząc się, zawsze pewna swej siły duchowej, zawsze zwycięska. Lutnia lwowska i Lutnia warszawska były w latach ubiegłych macierzą wszelkiego śpiewu chóralnego w Polsce, a Piotr Maszyński, jeżeli sercem swem jedną tylko Ojczyznę widział, to życiem i czynem artystycznym należał do Warszawy. Tu stawiał pierwsze swe kroki, jako muzyk, dyrygent i pieśniarz tworzący, z tutejszych źródeł czerpał swą wiedzę i tu następnie tę wiedzę, wzbogaconą własnym bystrym i płodnym umysłem, szerzył wśród społeczeństwa polskiego przez całe pół wieku.

Działalność jego, chociaż w Warszawie skoncentrowana, przyczyniła się w wysokim stopniu do utrzymania ducha narodowego w tych czasach, kiedy przeprowadzenie misji takiej napotykało tysiączne trudności i bez ofiar obejść się nie mogło. A jeżeli wszystkie miasta polskie: Warszawa, Lwów, Kraków, Poznań i Wilno pozostawały nieustannie w duchowej łączności z Maszyńskim, wchodząc z nim w osobiste zetknięcie się w pewnych tylko odstępach czasu, to cóż powiedzieć o mniejszych miastach Polski, które bezpośrednio z pod jego batuty lub jego wskazówek, albo też pośrednio z ust śpiewających „Lutni", otrzymywały nietylko pieśń nawskroś polską i całą moc jej ducha, lecz nawet i organizacyjny jej wzór, za którym następne miasta szły w ślad, krzewiąc kulturę pieśniową i śpiewacką coraz dalej i dalej, aż w najodleglejsze kraju zakątki.

Maszyński przez całe swe życie był zawsze takim niestrudzonym w pracy, nieprzystępnym dla znoju siewaczem, który proste i zdrowe polskie ziarno krzepką i szeroką dłonią rzucał od zarania do południa i od południa do zachodu. Oko jego, spoczywające najchętniej na Starem Mieście, zwrócone ku Wiśle i Pradze, obejmowało obszary większe i szersze, w przestrzeni i w czasie. Myśl odbiegała od zgiełku stolicy i nasuwała mu na usta pieśń, nie mającą nic zgoła wspólnego z międzynarodowym płochym tonem stołecznym, któremu i Warszawa, miasto wielkie i pełne życia, hołdowała nieraz może do zbytku. Pieśń Maszyńskiego twórcza czy odtwórcza, ileż to razy zachodziła łzą, gdy jej przyszło dawne wspominać czasy i o strunę ojczystą trącać!... Chociaż zatem łączył się z zagranicą, jak każdy kulturalny artysta, to jednak zawsze powracał do sztuki rodzimej, zbliżając się do niej nie gestem lekceważenia, lecz serdecznym odruchem coraz większej tkliwości i przywiązania. Mało muzyków naszych posiada tę niezwykłą trafność i miarę sądu w ocenie stosunku polskiej sztuki do zagranicy w tym stopniu, jak je posiadał Maszyński. Przy doskonałem poczuciu wszelkiego piękna, idącego ku nam stamtąd, umiał on i nasz „zaścianek" cenić, szanować i kochać, umiał w nim dojrzeć właściwe mu, odrębne piękno...

Pracując z właściwą sobie gorliwością i sumiennością na wszystkich stanowiskach sobie powierzonych, zamało mógł myśleć o pracy wyłącznie twórczości poświęconej, tej niezależnej, niekrępowanej żadnemi obowiązkami, lecz posłusznej jedynie fantazji. Na ten luksus artystyczny pozwalał sobie jedynie w chwilach wolnych od pracy obowiązkowej. Bo stawiała mu ona zresztą nieustannie zadania i poza godzinami nauki w Konserwatorjum, poza dyrygenturą „Lutni" i w Uniwersyteckim chórze. Chóry potrzebowały śpiewników, podręczników śpiewu i teorji, a mistrzowska ręka Maszyńskiego dostarczała im tych rzeczy niestrudzenie. Pod naciskiem potrzeby i praktyki codziennej, lecz z drugiej strony zamiłowania, smaku i rozumnych pedagogicznych intencyj, powstawały one, i pełne wysokiej wartości pojawiały się, przyjmowane przez ogół radośnie. Pewien rys praktyczności możnaby dojrzeć u Maszyńskiego i w tej pracy czysto już twórczej, którą złożył w licznych utworach wokalnych, pieśniach jednogłosowych, dwugłosowych i chóralnych a pozatem i w utworach instrumentalnych. Nie należy tego jednak broń Boże rozumieć w znaczeniu jakiejś myślowej jedynie pracy konstrukcyjnej, tworzonej bez wewnętrznego do niej powołania. Kompozycje Maszyńskiego pełne są nietylko smaku estetycznego, nietylko mówią poważnie i głęboko, lecz często pozwalają odezwać się sercu, gdy zwłaszcza trafią na tekst, który w jakąś tkliwą strunę uderza. A w tekstach był on wybrednym, władając polskim językiem w słowie i piórze znakomicie, z wielkiem umiłowaniem mowy ojczystej.

Zdawało się, że chociaż podeszłego doczekał się wieku a z nim uznania ze strony Miasta i Państwa, bo uznanie i miłość społeczeństwa posiadał oddawna — zdawało się, że przy swojej energji życiowej będzie mógł pracy twórczej oddawać się długo jeszcze. Śmierć jednak przecięła piękne pasmo zasłużonego życia jego i przerwała mu pracę, przerwała dosłownie, bo do ostatniej chwili oddawał się jej z całą gorliwością.

W przezacnem kole rodzinnem zabrakło tego dyrygenta, co otoczony najbliższemi i najmilszemi sobie osobami, prowadził wokalne zespoły, jak prawdziwy miłośnik muzyki, potrzebujący jej do życia nawet poza zawodem. Zabrakło dyrygenta chórom, co od tylu lat słuchały jego batuty wiernie, a pełne były karności, zabrakło młodzieży kierownika wielkiej powagi, a światu muzycznemu rozumnego, prawego i światłego doradcy, który swą życzliwością i taktem umiał sobie zjednywać zaufanie, jakiego nikt drugi nie posiadał. A salom koncertowym warszawskim zabrakło tego słuchacza, co jakgdyby pracą codzienną wcale nieznużony, wsłuchiwał się w muzykę płynącą z estrady, z wypisaną na czole bystrą myślą znawcy, a z entuzjazmem w oku.

Zabrakło nam wszystkim tej szlachetnej, kochanej postaci. Lecz od nas i od naszych następców zależy, aby jej duch pozostał między nami. Z wiarą w jego wysokie posłannictwo, niewolno nam dopuścić, aby miał z nami nazawsze się rozstać i odejść w krainę niepamięci.

KALENDARZYK WARSZAWY

Z PRZED PÓŁ WIEKU

GRUDZIEŃ 1884

RAUTY ADWENTOWE.

„Rozpoczął się tedy krótki sezon rautów adwentowych. Panny odbyły jeneralną próbę piosenek Tostiego i Moniuszki. Młodzieńcy deklamujący odświeżyli w pamięci „Improwizację warjata", „Do kobiety", „Karmelkowy wiersz" i parę jeszcze oklaskiwanych powszechnie utworów.

Ojcowie rodzin wspólnie z mamami odbyli lustrację sztućców i naczyń stołowych i uchwalili zamówienie dodatkowego lokaja.

Raut adwentowy to w strategji towarzyskiej przedwstępny rekonesans.

Raut adwentowy rozpoczyna się wcześniej, niż wielkopostny. Pierwsi goście pojawiają się o 10-tej, ostatni między 11-tą a 12-tą".

DAMY NA ŚLIZGAWCE.

„Na wszystkich stawach miejskich rozpoczęto już uprawianie sportu łyżwowego.

Damy ukazały się w komplecie i zwracają uwagę tak zręcznością, jak i elegancją ubiorów.

Magazyny mód gorliwie wykończają węgierki suto naszywane złotemi sznurami.

Ma się zawiązać klub łyżwiarski damski. Przynajmniej za upadek na tej arenie nie będą odpowiedzialni panowie".

BABCIE NASZYCH SWETERÓW.

„Na gwiazdkę dla pań i panienek staniki trykotowe damskie Jersey czarne i we wszystkich kolorach modnych. Gładkie i szamerowane, taśmami przybrane".

TRAMWAJE...

„Z powodu zbytniego nagromadzenia się śniegu, komunikacja tramwajowa była do południa zawieszona w całej Warszawie".

PIERWSZY ŚNIEG.

„Warszawa obudziła się dziś w żałobie: czarno na ziemi, biało na dachach.

Szwaczka, biegnąca do magazynu, zrobiła głośną refleksję:

— Oho, święci drą pierze!

Poczem czemprędzej schwyciła „ogonek" w rękę, by się nie zabłocić.



...Raut adwentowy to w strategji towarzyskiej przedwstępny rekonesans...

Dzieciarnia prosto z łóżek pobiegła do okien. Widok białych dachów i kominów wprawił ją w zachwyt. Młodszej cząstce powiedziano, że to Bozia zsyła jej tę zabawkę za to, że się wczoraj leguminy nie napierała.

Ale starsi śmieli się z tego — pozytywiści!".

NOWY CMENTARZ.

„Poświęcenie i otwarcie nowego cmentarza brudnowskiego ma w tych dniach nastąpić".

„DILEMMA..."

„Panie nasze są w niemałym kłopocie, bo jeszcze czasu nie miały pomyśleć o futerkach, a tu śnieg sypnął i mróz uderzył. Żal rozstawać się z modnem, ale stosunkowo lekkiem okryciem jersey, w którem tak do twarzy było, a z drugiej strony zdrowia narazić szkoda. Słowem... dilemma".

MALEŃKIE TIURNIURY.

„Na pewnej wystawie sklepowej, zapewne z powodu zbliżającej się „gwiazdki", spostrzegamy minjaturowe wyprawy dla lalek. Zwraca uwagę tiurniura nie większa od ...połówki jabłka.

Dokładność przedewszystkiem".

PRZYGODA NA SENATORSKIEJ.

„— Ma oczy Ładnowskiej.

— Nos Modrzejewskiej.

— Biust Elly Russel.

— Powiewność Giuri.

Takie zachwyty słyszałem wczoraj na własne uszy na Senatorskiej na chodniku przed wejściem do księgarni. Powtarzał je tłum złożony z mężczyzn.

Szczęściem w falandze dostrzegłem naszego sylfa redakcyjnego.

Figlarz objaśnił mnie, iż w magazynie zatrzymała się na chwilę najpiękniejsza kobieta w kraju. Przyjechała podobno na karnawał do Warszawy".

(kar. b.).

JÓZEF ŚLIWICKI O KONFLIKCIE AKTORSKIM

Głośny zatarg kilku wybitnych artystów ze Związkiem Artystów Scen Polskich odbił się szerokiem echem i w prasie i w sferach bywalców teatralnych. Pragnąc zapoznać się wszechstronnie z istotnemi przyczynami konfliktu, zwróciliśmy się do wieloletniego prezesa Związku i jednego z założycieli Związku, znanego artysty p. Józefa Śliwickiego, który z punktu widzenia organizacji, jaką reprezentuje, jakoteż i ze swego czysto obywatelskiego, tak mniejwięcej charakteryzuje podłoże zatargu:

— Główną przyczyną skreślenia p. Jaracza z listy członków Związku, co stało się ku memu szczeremu żalowi, jako prezesa i kolegi, oraz Zarządu Głównego Związku, była nie sprawa punktów spornych w zawarciu konwencji, lecz przeniesienie całego zatargu na forum publiczne przez p. Jaracza za pośrednictwem prasy, ku czemu nie było żadnych podstaw i wobec obowiązujących ustaw związkowych było niedopuszczalne. Zaznaczyć należy, że po ukazaniu się na łamach pewnego dziennika pierwszego wywiadu otrzymaliśmy od p. Jaracza list, stwierdzający, że interwiew został zniekształcony, niezgodny z faktycznym stanem rzeczy, i że p. Jaracz gotów jest go sprostować. Sprostowanie jednakże nie nastąpiło.

Co się tyczy samej konwencji, to stosujemy w niej najdalej idące ustępstwa, o ile tego wymagają indywidualne warunki teatru. Podczas przeszło dwumiesięcznych pertraktacji z p. Jaraczem uwzględnialiśmy wszystkie możliwości, a nawet proponowaliśmy, by p. Jaracz opracował projekt innej konwencji, nadającej się do przyjęcia przez obie strony.

Główny argument p. Jaracza, że nie może przestrzegać punktu gwarantującego aktorowi minimum zarobku, nie mógł być przez nas brany pod uwagę, gdyż byłoby to aprobatą, zupełnie oficjalną, tolerowania mniejszych stawek. Jeśli fakt ten ma miejsce w niektórych teatrach, to ze strony członków Związku nie było dotychczas żadnych reklamacji, więc zarzut, jakoby Związek tolerował tego rodzaju stan rzeczy, nie ma konkretnych podstaw. Jestem przekonany, że gdyby nie przedwczesne wystąpienie p. Jaracza na forum publiczne, znalazłaby się w końcu droga wyjścia i zatarg nie przybrałby tak ostrej formy, przykrej w konsekwencjach dla poszczególnych jednostek. Bo aczkolwiek do zespołu p. Jaracza, składającego się niemal w większości ze współwłaścicieli teatru, nie zastosowaliśmy dotychczas żadnych rygorów, gdyż rozpoczęli oni pracę w okresie pertraktacji o konwencję, to jednak



Józef Śliwicki, prezes ZASP.

w najbliższej przyszłości będą oni wykreśleni ze Związku, o ile nadal pracować zechcą w „Teatrze Aktora". Decyzja zarządu, w sprawie p. Jaracza, zaaprobowana przez kapitułę i członków zasłużonych, spotkała się z jednogłośną aprobatą wszystkich naszych filji, czyli ogółu aktorstwa polskiego.

Co się zaś tyczy p. Korolewicz - Waydowej, stwierdzić muszę, że nie zwracała się ona do nas o konwencję. Przeciwnie. W wigilję otwarcia opery zjawił się u nas jej pełnomocnik, oświadczając, iż p Waydowa nie ma zamiaru podpisania konwencji. Było to wyraźne pogwałcenie naszego statutu, w konsekwencji czego cały jej zespół musiał być wykreślony z listy członków.

Na zakończenie chciałbym wypowiedzieć swoją prywatną opinję o Związku, jako aktor. Pracując lat blisko pięćdziesiąt na scenie, znam dobrze zalety i wady aktora, a przedewszystkiem jego wybujały indywidualizm. Związek uczynił bardzo dużo dobrego dla aktorstwa, podniósł jego autorytet pod każdym względem. Jako organizacja bez sankcji karnych istnieć nie może. Z upadkiem Związku rozpoczęłaby się anarchja w stosunkach teatralnych. Aktor, a zwłaszcza aktorka stałiby się znowu ofiarą nie zawsze uczciwych przedsiębiorców, byliby wyzyskiwani moralnie i materjalnie.

Instytucja nasza ma też wielkie znaczenie społeczno - obywatelskie: utrzymuje schronisko dla aktorów i w ciągu blisko dziesięciu lat na cele humanitarne Związku wydała 1.153.000 zł.

Raz jeszcze stwierdzam, że wypadki, jakie zaszły ostatnio, są dla mnie bardzo przykre i bolesne, jak również dla całego Zarządu Głównego. Lecz równocześnie całkowicie solidaryzuję się z uchwałami i jako obywatel i jako prezes Związku Artystów Scen Polskich.

(Rozmowę przeprowadził J. S. W.)

W FILHARMONJI GRAJĄ

Warszawski świat muzyczny odetchnął: Filharmonja wreszcie ruszyła. Wszystkie sprawy, uniemożliwiające zapoczątkowanie sezonu, należą już do przeszłości. Więc: zarząd Filharmonji otrzymał ostatecznie zezwolenie od władz na prowadzenie koncertów; orkiestra została zaangażowana na warunkach indywidualnego zakontraktowania każdego z grających (dawne zrzeszenie orkiestry filharmonicznej przestało istnieć); zarząd Filharmonji ułożył się pod względem kooperacji finansowej (w wydatkach koncertowych) z Polskiem Radjem i miejskim Wydziałem oświaty i kultury. Słowem, jesteśmy „u progu" nowego sezonu koncertowego Filharmonji Warszawskiej — najwyższy czas. Co nam ten sezon przyniesie—Bóg raczy wiedzieć. Wiemy tylko jedno, że obecne kierownictwo, t.zn. zarząd Filharmonji, ma najlepszą wolę spełnienia obowiązku artystycznego (z własnej chęci na siebie nałożonego), jest nastrojony optymistycznie i z pełnią wiary pod przewodnictwem prezesa Cichockiego rwie się do pracy obywatelsko-muzycznej.

W piątek, 7 grudnia, odbył się „inauguracyjny koncert symfoniczny" (poprzedzony w tytule — w myśl tradycji — przymiotnikiem „wielki"). Rozsiadła się więc znowu orkiestra filharmoniczna na swych dawnych miejscach (w składzie osobowym prawie bez zmian). Niejeden słuchacz miał błogi wyraz zadowolenia, dumą okraszony, że wszystko skończyło się dobrze na tym najlepszym ze światów (mam na myśli, oczywiście, świat muzyczny).

Moniuszkowskie dźwięki rozpoczęły „atak" publiczności: fragmenty chóralne z kantaty „Milda" (Chór wiejski: „Już na niebie słonko płonie, a ku niemu ziemia cała zlane rosą zwraca skronie....; Modlitwa ludu u ołtarza Mildy: „Mildo! królową Litwa cię zwie..."). Chóry i orkiestrę prowadził Stanisław Kazuro, stojący na czele chóru oratoryjnego Filharmonji.

Potem rozległa się „zwykła" muzyka symfoniczna — słynna „piąta" Beethovena. Dyrektor Bierdjajew był w swoim żywiole, orkiestra również. Entuzjazm publiczności doszedł do punktu kulminacyjnego w drugiej części programu — po wykonaniu II koncertu Rachmaninowa przez Bolesława Kona. Entuzjazm ten był całkowicie uzasadniony: pianista, znakomicie usposobiony, wykonał koncert z pasją młodzieńczą, przelewając w swą realizację majsterstwo swej techniki pianistycznej i pięknie ukształtowane wyczucie blasków barwy fortepianu.

Pamiętajmy: Filharmonja otwarta! Wszyscy melomani „frontem" do ulicy Jasnej!

L. Binental.

P. S. Dobra nowina dla bywalców Filharmonji: „Przewodnik koncertowy" redaguje Roman Chojnacki. *L. B*

MALI JAPOŃCZYCY UCZĄ SIĘ ŚPIEWAĆ KOLENDY...



A MAŁY EUROPEJCZYK RYCZY, BO MU SIĘ TA KONKURENCJA NIE PODOBA.



NAJMILSZA GWIAZDKA

Fot. Koch

— Gwiazdko... ja chcę skarbonkę P. K. O.!

Oto codzienna myśl małej Basi, gdy znajdzie się wieczorem w łóżeczku. Wpatrując się ślicznemi oczętami w jasną plamę, wyrysowaną przez odblask latarni na suficie, myśli o blaszanej skarbonce, którą w tym roku koniecznie musi znaleźć pod choinką.

Już prawie wszystkie znajome dziewczynki mają takie skarbonki. W szkole opowiadają, ile każda zaoszczędziła pieniędzy, i co z niemi zrobi, gdy skarbonka będzie pełna. Basia z zazdrością słucha zwierzeń i chętnie zamieniłaby wszystkie lalki i inne zabawki na blaszaną puszeczkę.

Basia chce składać pieniądze, a do tego konieczna jest skarbonka. Gdy tak leży w łóżeczku, myśli sobie, na co je będzie wydawała. I rodzicom i rodzeństwu kupi na imieniny różne upominki i wyprawi balik dla tych biednych dzieci z suteryny, które są takie blade i pewno nigdy nie jadają cukierków.

W czasie tych rozmyślań zasypia zwolna. I śni się jej, że jest już gwiazdka i jarzy się tysiącem świeczek choinka. Z bijącem sercem wbiega Basia do pokoju, spogląda pod drzewko i przez chwilę aż jej coś z radości dech w piersiach zapiera. Na kolorowej serwetce stoi skarbonka P. K. O. taka, o jakiej marzyła, jaką mają jej koleżanki.

Chwyta ją w rączęta, z głośnym okrzykiem radości i słyszy wesoły dźwięk. To pięciozłotówka, wrzucona przez babunię „na początek".

Cieszy się Basia, biega dokoła choinki, ściska po kolei i mateczkę i poważnego tatusia i babunię, wołając:

— Mam skarbonkę!.... mam skarbonkę!...

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

Straszny robot

Inżynier amerykański, Seeman, pracował dwa lata nad skonstruowaniem fenomenalnego „robota", któremu dał nazwę „Deinos" („Straszny"). W laboratorjum nowojorskiej firmy „Vollaston" podziwiano ten nowy cud techniki. Robot posiadał liczne „uzdolnienia", między innemi umiał strzelać z pistoletu maszynowego.

Kilka dni temu robot zabił swego twórcę, który, widać, gdzieś coś nacisnął nieostrożnie.

Straszny robot... I symboliczne zabójstwo w świecie szaleństw i obłędów techniki.

Robot zdawał się „powiedzieć" żywym ludziom: na drodze tych pomysłów dochodzicie do absurdów, wasze ambicje tworzenia „ludzi zastępczych" są tragikomiczne, nie wkraczajcie w kompetencje Stwórcy, bo źle się skończy ta ponura zabawa.

Przychodzą na myśl słowa Flammariona, wypowiedziane do paruset uczonych na jednym z wielkich zjazdów naukowych w Londynie: „Nauka jest wielka i wspaniała, ale sprobujcie stworzyć jedną żywą muchę"....

Postęp z przeszkodami

(j.j.) W warszawskim Związku właścicieli dorożek samochodowych zanotowano w ciągu bieżącego roku kilkadziesiąt sprzedaży wozów przez członków Związku i nabycie przez nich dorożek konnych.

Tak zaczyna wyglądać „rozwój" motoryzacji w stolicy. Pauza, stagnacja, impas. Drynda redivivus!

W dniu meczu Polska - Niemcy (w sierpniu r. b.) dorożkarze warszawscy mieli humor doskonały. Nie pamiętają takiego powodzenia. Bo największą rozrywką dla gości niemieckich była ta właśnie, *egzotyczna* zabawa: przejechać się dorożką konną, której w Berlinie młodzież nie widziała.

Kryzys panuje na całym świecie, ale Warszawa jest jedyną stolicą w Europie, gdzie rośnie ilość dorożek konnych. Coś tu musi być nie w porządku. Jakaś nieprawidłowa kalkulacja.

W kilku miastach województwa poznańskiego powstały nowe fabryki... lamp naftowych. Tryumfalny pochód żarówki na pewnych terenach — zahamowany. Tam, gdzie już zaczęła panować niepodzielnie. Więc znów — jakiś wadliwy rachunek gospodarczy, jakaś wielka niedorzeczność.

Na kresach wróciło starodawne krzesiwko. Na wielkich obszarach kraju zapałka wyszła z użycia, a zapalniczki nikt nigdy nie widział.

Postęp z przeszkodami. Wyrwy cywilizacyjne. Nawrót i ...egzotyzm.

Lęk rządzących

(j.j.) Zasada odpowiedzialności zbiorowej święci nowe tryumfy.

Z Jugosławji, która oskarża rząd węgierski w sprawie zbrodni marsylskiej, wydalono tysiące Węgrów. Procedura wysiedlania była okrutna. Jak podczas wojny. Wyrzucano ludzi, którzy mieszkali tam po kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt lat. Termin wyjazdu — doba. Więc bez możności likwidacji spraw prywatnych. Wysiedlani zostawili cały swój dobytek. Wolno im było zabierać tylko bagaż ręczny i prowiant na drogę. Wysiedlano ciężko chorych, starców, dzieci. W depeszy P. A. T. z Szeged (dn. 7 b. m.) — wiadomość o tragedji 13-letniej dziewczynki, którą wydalono bez żadnej opieki.

Cóż to dziecko zawiniło? Jest obywatelką węgierską. „Wyższe racje" niosą jej nieszczęście i poniewierkę.

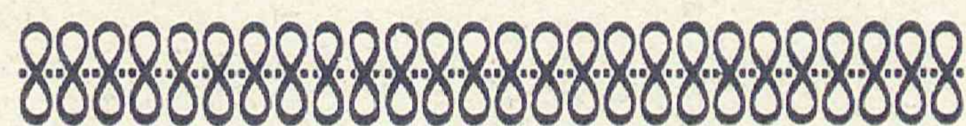
Groza tych „wyższych racyj" dała znać o sobie w innym jeszcze kraju i w sposób najbardziej krwawy.

Po zabójstwie działacza bolszewickiego, Sergjusza Kirowa, rozstrzelano dotychczas 66 osób, które od jakiegoś czasu siedziały już w więzieniu. Sąd odbył się w drodze t. zw. skróconej procedury. Oczywiście, o udowodnieniu wszystkim winy nie mogło być mowy. Rozstrzelano ich jako zakładników. Nie wiedzieli, za co.

Korespondent moskiewski „Gazety Polskiej", p. Otmar, pisze: „Reguły walki klasowej" są nieubłagane i jest rzeczą absolutnie trzeciorzędną, czy ludzie ci są naprawdę winni. Interes zaś reżimu, w pojęciu jego kierowników, „interes państwa proletarjackiego" domaga się krwi".

„Jest rzeczą absolutnie trzeciorzędną"... Tak, naturalnie, właśnie ta rzecz najważniejsza...

Słuszną wydaje się następująca uwaga redaktora „Kurjera Porannego", p.W.Stpiczyńskiego: „W reżimach wolnościowych przyczyną niepokojów są zazwyczaj niezaspokojone aspiracje ludu, w ustrojach zaś dyktatorskich lud milczy pod obuchem terroru, a źródłem niepokoju staje się lęk rządzących".



NAJBLIŻSZY

GWIAZDKOWY NUMER „ŚWIATA"

zawierać będzie, poza bogatym jak zwykle działem literackim i ilustracyjnym, szereg stron poświęconych specjalnie kolendom polskim. Zamieścimy w nim artykuł znakomitego muzyka i znawcy pieśni ludowej, prof. Stanisława Niewiadomskiego, o kolendach, zaś kolendy z punktu widzenia literackiego omówi Stanisław Młodożeniec

Wielką atrakcją naszego numeru gwiazdkowego, będzie facsimile oryginału kolendy

„Przylecieli tak śliczni anieli"...

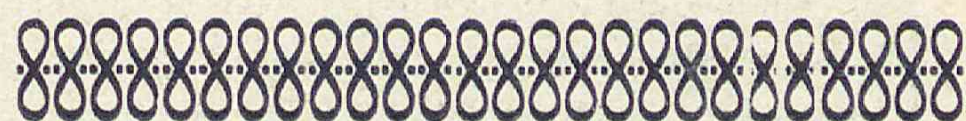
npaisanej do tekstu ludowego na głos z towarzyszeniem fortepianu

specjalnie dla „Świata"

przez

STANISŁAWA NIEWIADOMSKIEGO

Piękny ten utwór będzie upominkiem gwiazdkowym „Świata" dla naszych prenumeratorów i czytelników.



Paradoksalne pytanie

(jj) Czasopismo poznańskie p. n. „Przyjaciel Szkoły" ogłasza wysoce interesujące wyniki ankiety przeprowadzonej w Poznaniu na terenie szkół powszechnych i wydziałowych. Chodziło o to, żeby się dowiedzieć, co dzieci czytają po za obowiązującą lekturą szkolną. Odpowiedziało 8.515 uczniów i uczennic w wieku od 10 do 14-go roku życia.

Cyfry najciekawsze: 61,2% uczniów i uczenic szkoły powszechnej i 43,3% szkoły wydziałowej czyta *regularnie...* „Tajnego Detektywa".

Po takim wyniku ankiety możnaby zadać paradoksalne pytanie: czy analfabetyzm jest istotnie złem bezwzględnem?



P. Halina Konopacka - Matuszewska w kostjumie do konnej jazdy.

Fot. Bill

POLSKA MODA SPORTOWA

Polska moda stawia sobie coraz szersze zadania. Już mamy skomponowane przez polskie artystki i wykonane przez polskie firmy modele strojów do wszelkich sportów. Grupa sportsmenek demonstrowała je z wdziękiem w Simie, na pokazie zorganizowanym sprężyście pod przewodnictwem znakomitej dyskobolki Haliny Konopackiej - Matuszewskiej, i pod kierunkiem artystycznym Zofji Raczyńskiej - Arciszewskiej.

Pokazano nam modele do sportów wszelkich sezonów, a wszystko w kompozycjach estetycznych, lekko zabarwionych folklorem przez użycie motywów zdobniczych i haftów, dostarczonych przez A. R. W.

Naturalnie największe zainteresowanie wzbudzały stroje do sportów „aktualnych" — a więc konnej jazdy i nart. Ministrowa Matuszewska ukazała się w świetnym, stylowym kostjumie do konnej jazdy, i powitana została burzą oklasków, co zresztą powtórzyło się i przy dowcipnem sprezentowaniu przez nią oryginalnego kostjumu narciarskiego, wzorowanego na stroju huculskim: bronzowe sukno przybrane huculskim haftem.



Kostjum narciarski, huculski, prezentowany przez min. Matuszewską.



P. Znamięcka w białym stroju narciarskim.

Pani Znamięcka ukazała się w kostjumie narciarskim, białym z czerwonym szalikiem — i chociaż jestem wrogiem stroju białego na śniegu — przyznać muszę, że całość była bardzo przyjemna.

Conferencierkę prowadził dowcipnie ale niestety zupełnie niefachowo p. Zygro, plącząc nazwy materjałów z nazwami firm, a nazwiska malarek z technicznemi określeniami sportowemi. Galimatjas ten wypadł może zabawnie — niestety jednak chodziło tutaj o coś poważniejszego. Wysiłek dokonany przez projektodawczynie, przez organizatorki, przez firmy — właściwie pod względem propagandowym został zlekceważony. Widzieliśmy piękne rzeczy, aleśmy się nie dowiedzieli o nich niczego konkretnego. Stanowczo „panowie stworzenia" nie nadają się do propagandy....

Lustucru.

JÓZEF CZYŚCIELSKI

Z ZA BIURKA REFERENTA OPIEKI SPOŁECZNEJ



...*spostrzegłem, że jest strasznie piegowaty*...

Zespół literacki „Przedmieście" wydał nakładem „Roju" książkę zbiorową pod tyt. „Pierwszy maja". Zamieszczone w niej prace Jerzego Kornackiego, Wład. Kowalskiego, Bolesł. Zandberga, Zofji Nałkowskiej, Józefa Czyścielskiego, Sydora Reya, Kazimiery Muszałówny, A. Degala i Heleny Boguszewskiej są związane właściwie prawie wyłącznie zainteresowaniem tematami społecznemi. Poziom ich jest różny, jak różne środki ekspresji twórczej. Podajemy dziś urywek J. Czyścielskiego, malujący nastroje i odczucia człowieka, stykającego się „z urzędu" z nędzą ludzką.

JA, ONI I BUDŻET.

Przeczytajcie sobie kiedyś ustawę o opiece społecznej. To bardzo piękna ustawa. Znajdziecie ją w Dzienniku Ustaw z roku 1923, Nr. 92, pozycja 726. Jeżeli poezja jest oderwaniem się od rzeczywistości, pięknem marzeniem, huśtaniem się w sferze wyobraźni, — to ustawa ta jest poezją.

A potem przyjedźcie do miasteczka Wszędowa, które liczy, powiedzmy, 25 tysięcy mieszkańców i leży w każdem województwie i w każdym powiecie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i popatrzcie, posłuchajcie, jak ja tam urzęduję. Ja — referent opieki społecznej.

Leży na mojem biurku książeczka, zawierająca ową piękną ustawę, oraz wydane do niej, równie piękne, rozporządzenia wykonawcze. A oprócz tego leży jeszcze budżet miasta Wszędowa, w którym w dziale IX-tym znajdziecie następujące pozycje: leczenie chorych ubogich — 2000 zł., zapomogi doraźne — 4000 zł., utrzymanie sierot, podrzutków i starców — 2600 zł.

* * *

Czekają na mnie w korytarzu godzinami i boją się wejść do biura. Dziewczyna z dwojgiem dzieci, ślepy robotnik, chora na gruźlicę praczka i stary, głuchoniemy żebrak. Przez biuro przewijają się dziesiątki interesantów, — tych w innych sprawach, — i zawsze, przy każdem wejściu i wyjściu, przez moment otwarcia drzwi rzucają się na mnie błagalne, pochlebne i badawcze spojrzenia tych z korytarza. Oni wiedzą, że jestem zły i nie daję, że krzyczę i odprawiam ich z kwitkiem. Znają doskonale moją psychologję, mój upór, twarde, kamienne serce. Nie mają dla mnie przebaczenia, bo trudno jest przebaczać człowiekowi, który nie chce zrobić takiego głupstwa, jakiem jest napisanie kartki, zaczynającej się od słów: „Kasa Miejska wypłaci tytułem zapomogi..." Wiedzą, że rozmowa ze mną jest dla nich przykra i upokarzająca. Wiedzą o mnie bardzo dużo. O jednem tylko nie wiedzą. Że na biurku, wśród spiętrzonego stosu papierów, leży budżet miasta Wszędowa.

ICH SZCZĘŚCIE.

Tak na oko wyglądał na sześć lat. I tyle mniej więcej miał istotnie. Był ubrany w marynarkę dorosłego, z zawiniętemi, stosownie do długości ramion, rękawami. Buty miał również nieco przyduże, ale całe. Pończochy ciepłe, wełniane, — jedna szara, druga zielonkawa. Szara przewiązana nad kolanem sznurkiem, zielonkawa sznurowadłem. Przez ramię miał przewieszoną torbę, dobrze czemś wypełnioną. To samo można było powiedzieć o kieszeniach, pęczniejących koło jego kolan.

Na podsuniętym mi przez policjanta odpisie doniesienia napisałem stereotypowe: potwierdzam odbiór pisma wraz z osobą. Policjant stuknął wdzięcznie obcasami, zasalutował i wyszedł. Zostaliśmy sami.

— Zdejm czapkę, — powiedziałem.

Zdjął z odruchem wyrzutu sumienia, że takie oczywiste rzeczy mu trzeba przypominać, a potem uśmiechnął się do mnie serdecznie. Teraz dopiero spostrzegłem, że jest strasznie piegowaty. Taki sam chłopiec, tylko trochę większy, grywa w amerykańskich filmach.

— Skąd jesteś?

— Z Warchałowic.

(Wieś, 17 kilometrów od Wszędowa).

— Pieszo tu przyszedłeś?

— Pieszo.

— Poco?

— Ja zbieram.

— Co zbierasz?

— Pieniądze i co do jedzenia. Wolę pieniądze.

Jak zwykle w takich razach, zeszli się do biura urzędnicy zobaczyć delikwenta. Mały rozpoczął zaraz zbiórkę. Po chwili zadzwonił wesoło garścią drobniaków, chuchnął na szczęście i wsypał je do specjalnie na ten cel przeznaczonej wewnętrznej kieszeni marynarki.

Stary rachmistrz, gładząc chłopca po krótko ostrzyżonej głowie, powiedział:

— Takiego samego, jak ten, podobnego jak kropla wody (może był trochę większy) widziałem przed kilku dniami w pociągu. Sprzedawał po 5 groszy ulotki reklamowe pralni „Pośpiech".

— To mój brat! — wykrzyknął malec z radością, która budzi się ni stąd ni zowąd zawsze, gdy dwaj obcy ludzie stwierdzą, że mają wspólnego znajomego. — On zawsze sprzedaje. Różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Puste pudełka od zapałek, okrągłe kamyki, stare gazety, ogłoszenia...

— I ludzie to kupują?

— Kupują. Śmieją się i kupują. On ma szczęście, bo on ma suchą rękę.

Nagle spoważniał i po chwili dodał:

— My wszyscy chodzimy po świecie.

— A ilu was jest?

— Cztery.

— Sami chłopcy?

— Aha.

— A co rodzice robią?

— Ojca nie mamy, a matka jest chora. Nic nie robi.

— I pozwala wam tak się włóczyć?

— Mama nam każe, bo my wszystko przynosimy.

Zacząłem urzędować. Pismo do wójta gminy Warchałowic z powołaniem się na odpowiedni artykuł ustawy o opiece społecznej. Że odstawiam chłopca z prośbą, aby się zajął radziną tych nędzarzy i nie dopuszczał do wysyłania dzieci na żebraninę. Że rachunek kosztów odstawienia prześlę po ich obliczeniu.

Urzędnicy się rozeszli, a mały zaczął przestępować z nogi na nogę. Zdjął z siebie torbę i marynarkę ze skarbami, — położył na podłodze na znak, że nie zamierza uciec i wyszedł. Ja za nim. Nie zapytał mnie — gdzie. Ja nie mówiłem. Kręcił się po korytarzu, przyglądał się rozmaitym drzwiom, wreszcie wszedł zdecydowanie do gabinetu burmistrza. Nie stropił się pomyłką, ani obecnością poważnego pana z czarną brodą i groźnemi oczami. Powiedział śmiało:

— Chciałbym siusiu.

Oczywiście, wyręczyłem burmistrza.

Do Warchałowic pociągiem trudno się dostać, więc burmistrz wzruszony okazanem mu przez chłopca zaufaniem, kazał go odwieźć gminnem autem. Zwłaszcza, że akurat ktoś w tym kierunku służbowo miał jechać.

Trzeba było go widzieć, jak rozparł się na poduszkach. Zobaczyłem wtedy szczęście ludzkie schwytane na gorącym uczynku. Jazda samochodem! Czy wy to możecie zrozumieć? Wy, którzy stale, a przynajmniej czasami jeździcie autem?

Żegnał mnie machaniem ręki, w którem była radość dziecka i duma udzielnego księcia.

* * *

Myślicie, że to koniec? Nie. Na drugi dzień przyszli obaj, bez policjanta. Ten, co zbiera i ten, co sprzedaje. Z prośbą, żeby ich odstawić.

Napisałem wtedy bardzo groźny list do wójta, że jak się to jeszcze raz powtórzy, to zrobimy zażalenie do samego Pana Starosty.

Ale pojechali znowu autem. Nie wiem, jak się to stało. Zdaje się, że znowu była jakaś okazja. Zresztą burmistrz ma też dzieci, które kocha. Dość, że pojechali znowu autem, rozparci na poduszkach.

* * *

Do tej pory się dziwię, że rozklekotane auto gminne nie rozsypało się pod tym olbrzymim ciężarem szczęścia.

ŚWIAT KSIĄŻKI

WSPOMNIENIA Z NIEDŹWIEDZIEJ WYSPY

Zanim nauka uporządkuje i oceni rezultaty badań dostarczonych przez „Pierwszą polską ekspedycję narodową roku polarnego 1932/33", piśmiennictwo nasze zdobyło już bardzo dobrą książkę, napisaną przez kierownika wyprawy Czesława Jacka Centkiewicza p. t. „Wyspa mgieł i wichrów". Jest to rodzaj osobistego pamiętnika, uwzględniającego jednakże te momenty, które mogą zainteresować szeroki ogół i poinformować nietylko o trudzie naukowym, lecz i codziennem życiu podbiegunowem trzech młodych uczonych: autora, Stanisława Siedleckiego i Władysława Łysakowskiego, którzy przeżyli sui generis robinsonjadę i ogromnie przyczynili się do pogłębienia badań arktycznych.

Autor, licząc się z tem, że ogół czytających ma bardzo słabe pojęcie o meteorologji, geofizyce i naukach pokrewnych, w formie oględnej i przystępnej porusza ściśle zagadnienia i rezultaty przeprowadzanych badań. Większy nacisk kładzie natomiast na strony życia praktycznego, związanego z warunkami pobytu na „Wyspie Niedźwiedziej". Czyni to jednak w formie tak zajmującej, urozmaiconej i humorem i łezką sentymentu, że opis gotowania obiadu, czy „jeneralnego prania" czyta się z prawdziwą satysfakcją. Z książki bije, jak słusznie stwierdza w przedmowie prof. Dobrowolski, zapał młodości i ukochanie wiedzy, przy równoczesnem pomijaniu swoich zasług, które były niemałe. Pasja młodości i zamiłowanie do nauki nadają pamiętnikom, pisanym doskonałą polszczyzną, ową bezpośredniość i świeżość, które muszą porwać najbardziej nawet zblazowanego czytelnika. Dużą wartością książki jest podkreślenie idei braterstwa, łączącego ludzi morza, bez względu na ich państwowe przynależności i pełne poświęcenia, anonimowe bohaterstwo, gdy trzeba spieszyć z pomocą będącym w niebezpieczeństwie.

„Wyspę mgieł i wichrów", ozdobioną licznemi zdjęciami autora, opublikowało w bardzo starannej szacie graficznej Tow. Wydawnicze „Rój" w Warszawie. Książka Centkiewicza jest doskonałym upominkiem gwiazdkowym dla wszystkich bez wyjątku, a przedewszystkiem dla starszej młodzieży, jako dzieło tak rzadkiego dziś entuzjazmu i ukochania wiedzy.

WYDAWNICTWA DLA MŁODZIEŻY

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazał się cykl książeczek, nadających się jako upominki gwiazdkowe dla młodzieży.

Znana pisarka *Zofja Kossak - Szczucka* w powieści *„S. O. S."*, o bardzo szlachetnej formie sensacyjnej, opowiada dzieje nieszczęśliwego sieroty, narażonego na wszystkie pokusy i niebezpieczeństwa ulicy. Ideologją książki jest zwrócenie uwagi na opuszczone dzieci i konieczność ich ratunku. W powieści mamy kilka pięknych postaci i podkreślenie roli harcerstwa w życiu młodzieży, jako czynnika obywatelskiego i społecznego.

Angielskie pamiętniki por. Faustyna Wirkusa, polaka, opracowane przez Taney Dudley, posłużyły *Janowi Kilarskiemu* za kanwę do awanturniczo-egzotycznej powieści p. t. *„Biały Król Gonawy"*, opowiadającej przygody minjaturowego Beniowskiego na tronie wyspy Haiti. Akcja żywa. Kilka dobrze naszkicowanych scen, tylko zupełnie niepotrzebny zbyt częsty i banalny ton molizatorski i bezkrytyczne wyidealizowanie bohatera z racji jego narodowości. Artystyczny efekt byłby pełniejszy, gdyby autor zwrócił większą uwagę na oryginał pamiętników, a mniej kierował się własną fantazją.

Jana Szczepkowskiego „Synowie buntu" są próbą powieści kronikarskiej z okresu walki o szkołę polską w Królestkie Polskiem. Autor nie wyczerpał jednakże wszystkich źródeł, stąd też wiele niedokładności i pewna nieznajomość stosunków lokalnych.

J. S. W.

DZIECI, NIE BAWCIE SIĘ JAK DOROŚLI!



...te wszystkie wojenne zabawy się nie opłacają...

Feljeton ten przeznaczony jest dla dzieci, ale cóż to szkodzi, jeżeli go przeczytają dorośli? A jeśli się zastanowią... ba! żeby chcieli się zastanowić.

Otóż, drogie dzieci, nie bawcie się, jak dorośli. Macie przecież tyle swoich zabaw. Dorośli chodzą po mieście tam i zpowrotem z karabinami na ramionach— jeżdżą na koniach z lancami, szablami i tornistrami — to są ich własne niezrozumiałe zabawy. Potem się umawiają, że jest „wojna", biją się szablami po głowach, po nogach, po rękach — strzelają do siebie z prawdziwych karabinów prawdziwemi kulami, a potem z armat, które robią taki huk, jak sto tysięcy kapiszonów naraz wystrzelone. Tego już nikt nie zrozumie. Taka zabawa i już.

Ale wy nie potrzebujecie zaraz tego naśladować. Dlaczego Jaś chce na gwiazdkę szabelkę? Czy Jaś będzie szabelką wykłuwał oczka siostrzyczce, albo nabijał guzy na głowie braciszkowi. Nie? no to poco ci Jasiu szabelka? Wywijać możesz równie dobrze czemś, co nie będzie miało ostrego końca, chociażby ręcznikiem, a jeżeli ci idzie o to, że szabla się błyszczy, to uwieś sobie budzik, albo aluminjową tacę — zawsze większe!



...parasol tatusia zaraz się łamie..

Myślę, że znacznie korzystniej będzie, jeżeli Jaś poprosi rodziców o budownictwo. Niech Jaś się uczy zamłodu raczej w spokoju układać cegiełki, które mu urosną w zdumiewające Dzieło Pracy, niż z hałasem wymachiwać szabelką, rozbijać szyby, lampy, garnki i wazony.

Dlaczego tatuś kupił Józiowi karabin i armatkę, która „naprawdę" strzela? A jeżeli kupił, to dlaczego potem się denerwuje, że Józio przeszkadza mu w pracy? Józio może mieć słuszny żal do Tatusia za niekonsekwentne postępowanie. Bo przecież za te pieniądze mógł tatuś Józiowi kupić kredki i masę papieru. Józio by siedział cicho w sąsiednim pokoju i rysowałby. A coby rysował? Domy, konie, okręty, pieski, drzewa, tramwaje, pana na rowerze, pana w cylindrze, morze, gwiazdy i to wszystko, coby mu pokazała jego dziecinna, nader hojna, wyobraźnia.

Korzystnie i spokojnie.

Wogóle te wszystkie wojenne zabawy, do których potrzeba krzesełek, parasola i szczotki do zamiatania, o ile sobie przypominam, zupełnie się nie opłacają. Parasol tatusia zaraz się łamie, doniczki z kwiatami spadają i tłuką się, Heniowi mamusia musi robić okłady, bo mu idzie krew z nosa. Zosia płacze do wieczora po kątach, a tatuś chodzi zły i gniewa się na dzieci za parasol, doniczki, za krzesła, za Zosię, i za wiele innych rzeczy, za które nie powinien się gniewać, ale się gniewa, bo jest zły na dzieci.

A czy umiecie grać w ping-ponga? Bardzo przyjemna gra! Rodzice powinni wam kupić, bardzo tanio. Tyle co pudełko z ołowianemi żołnierzami, z którymi naprawdę niewiadomo co robić.

Ustawia się żołnierzy na stole naprzeciw siebie i stoją tak godzinę i dwie, aż wam się nie znudzi, albo służąca nie zacznie nakrywać do kolacji. Naprawdę, czy to może być interesujące, że oni tak długo sobie stoją z karabinami na ramieniu. Ach — dlaczegóż tak nie wygląda prawdziwa wojna? Chyba tylko o tyle to przypomina prawdziwą wojnę, że po tygodniu jeden z żołnierzy nie ma głowy, drugi nie może stać, a inny ma urwaną rękę razem z karabinem, ale to już jest całkiem inna zabawa i chyba z wami lepiej o tem nie mówić.

Wiem, że nie macie zamiaru nikogo krzywdzić, ani teraz ani kiedykolwiek. Przecież wiem, że macie zamiar w przyszłości Polskę budować, żeby ją inni szanowali nie za to, że polscy żołnierze dobrze strzelają — tylko za to, że będzie potężna, bogata, że będzie miała najpiękniejsze domy przez was zbudowane, największe fabryki przez was zorganizowane, najlepsze maszyny przez was wymyślone. Już teraz myślcie, jakby to zrobić!

A zabawę w wojsko zostawcie dorosłym.

St. Zamecznik



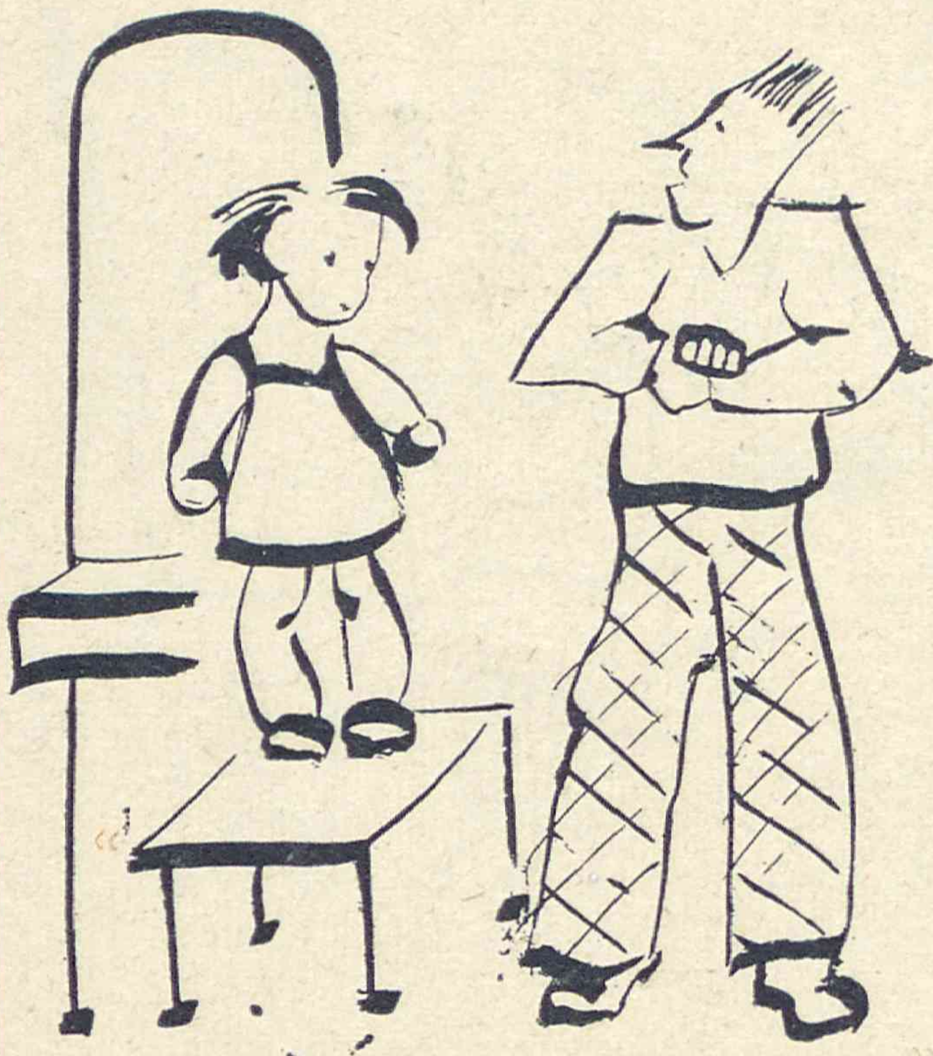
...Heniowi mamusia robi okłady...

JULJAN KRZEWIŃSKI

NASZE „POCIECHY"

(Autentyczne powiedzenia dzieci)

(ilustr. J. Przybyszewska)



Dwuletnia Zosia, wbrew zakazom mamy, plądrując na toalecie, rozsypała puder.

Na to wszedł jej ojciec i zawołał podniesionym głosem, załamując ręce:

— O, Boże! Coś ty narobiła!

Zosia patrzy nań z powagą i wreszcie mówi:

— Nie stlasz dziecka!

* * *

Mama wybiera się z Zosią do Łazienek; zabrawszy ze sobą książkę, robótkę i śniadanie, mówi do siebie:

— Czy ja czego nie zapomniałam?

A Zosia na to:

— Weź jeszcze cukierki, bo może ja się rozgrymaszę.

* * *

Dzieci siedzą w stajni i zawzięcie studjują życie królików. Pewnego razu zjawiają się w pokoju ciotki, starej panny, rezydentki, a najstarsze pyta:

— Czy ciocia miała męża?

— Nie — odpowiada ciocia.

— A czy ciocia będzie miała męża?

— Nie, nie będę już miała.

— A czy ciocia miała dziecko?

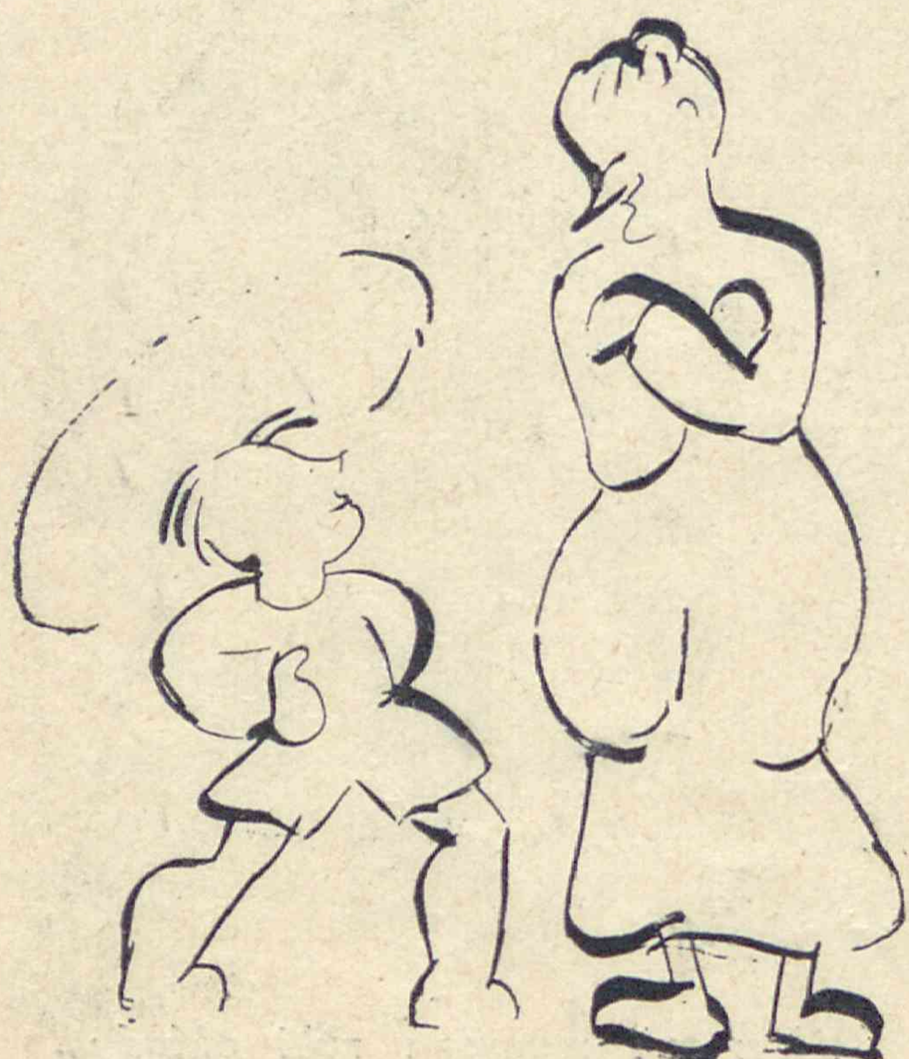
Stara panna, zniecierpliwiona tą indagacją, uprzedzając dalszy ciąg pytań, mówi:

— Nie mam, nie miałam i nie będę miała. Nie nudźcie mnie i wyjdźcie sobie.

Dzieci wyszły, a skupiwszy się na korytarzu, czekają opinji najstarszego z pośród siebie. Ten zaś mówi tryumfująco:

— A nie mówiłem, że ciocia jest samiec?

* * *



Gość nie zastawszy rodziców małego Edzia w domu, oczekując ich powrotu, rozmawia z ich synkiem:

— Jak ci na imię?

— Edzio.

— A twemu tatusiowi?

— Nie wiem.

— No, a jakże mamusia woła zawsze na tatusia?

— „Nie chrap!"

* * *

Jędruś pyta nauczycielki, skąd Pan Jezus wziął na Wielkanoc tyle marchwi.

Zdziwiona nauczycielka dopytuje chłopca, gdzie on słyszał o tej marchwi.

Na to Jędruś:

— A no, wiadomo, że na Wielkanoc „z marchwi wstał".

* * *

Ewunia pierwszy raz ze wsi przyjechała do Warszawy. Powróciwszy do domu i opowiadając swe wrażenia, zauważyła między innemi:

— Karmiłam też łabędzie w Saskim Ogrodzie. Zajadały bułeczkę i popijały rzeką.

* * *

Małe dziewczynki bawią się w chore. Jedna z nich wyjmuje z pod paszki ołówek, patrzy nań i mówi:

— O jej! Ja mam 45 stopni gorączki!

— Niemądraś — oponuje druga — tyle to nawet trup nie ma.

* * *



Tadzia interesuje aureola świętego na obrazku. Babcia mu tłumaczy, że jest to oznaka świętości.

Tadzio, wielce tem zainteresowany, pyta, czy i on mógłby być świętym.

— No, gdybyś był bardzo a bardzo grzeczny — mówi babcia — we wszystkiem słuchał starszych, pobożnie mówił paciorek, to kto wie...

Zaraz potem Tadzio zaczął się usilnie starać o osiągnięcie tytułu do świętości. Widząc jednak, że jego wysiłki przechodzą bez wielkiego wrażenia, zwraca uwagę babci:

— Babciu, niech babcia się dobrze przyjrzy. Mnie się zdaje, że już mi się robi nad główką kółko.

* * *

Dziewczynki w ogrodzie robią babki z piasku i niby je sprzedają. Przechodzień dla żartu chce kupić i pyta, czy mogą mu wydać reszty drobnemi.

Dziewczynki spoglądają po sobie z zakłopotaniem. Wreszcie jedna z nich mówi:

— Kiedy nasze pieniądze są „nibowe" (na niby).

* * *

Matka prezentuje czteroletniego synka koleżance z pensji i pyta go:

— No, Władziu, jak ci się podoba panna Wanda?

— Teraz mi się niebardzo podoba, ale jak już się będę golił, to pewnie mi się spodoba.

* * *



Babcia uczy wnuczka katechizmu i długo nie może się uporać z wytłumaczeniem dziecku Trójcy Świętej.

Wreszcie zdaje się, że dziecko pojęło jej wywody i tylko jeszcze pyta:

— No dobrze, ale czy Bozia do kina może wejść za jednym biletem?

* * *

Tadzio marudzi, prosząc babcię, aby mu znalazła konika, który się gdzieś zapodział.

Babcia, nie mogąc odnaleźć ulubionej zabawki wnuka, podaje mu laskę z zakrzywioną rączką.

— Wsiądź sobie na tego konika, tu przywiąż sznurek — to będzie uzdeczka i wio!

Tadzio ogląda długo na wszystkie strony laskę, poczem mówi:

— To ma być koń? To jest poplostu patyt...

* * *

Chłopczyk bez apetytu, którego ustawicznie zmuszają do jedzenia, mówi:

— Wiesz, co ja będę robił, jak będę dorosły? Będę zawsze wypluwał jedzenie.

* * *

Matka, chcąc ułatwić córeczce konsumcję obiadu, przed każdą łyżką zupy mówi:

— Jedzie, jedzie, jedzie tatuś do Warszawy.

Poczem dziecko połyka strawę. W ten sposób mama pojechała do Krynicy, ciocia do Krakowa i t. d.

Kiedy wreszcie mama zaanonsowała wyjazd pana Gustawa do Radomia, córeczka całą zawartość łyżki wypluła na podłogę. Mama się rozgniewała.

— Co to jest? Chcesz dostać po łapie?

— Kiedy pan Gustaw jechał bez biletu — tłumaczy mała.

* * *

DZIECIĘCE PYTANIA

— Gdzie się zima podziewa, kiedy jest lato?

* * *



— Czy święty Mikołaj uradziłby samochód?

* * *

— Co robi wiatr, kiedy nie wieje?

* * *

— Gdzie mróz wodę schował?

* * *

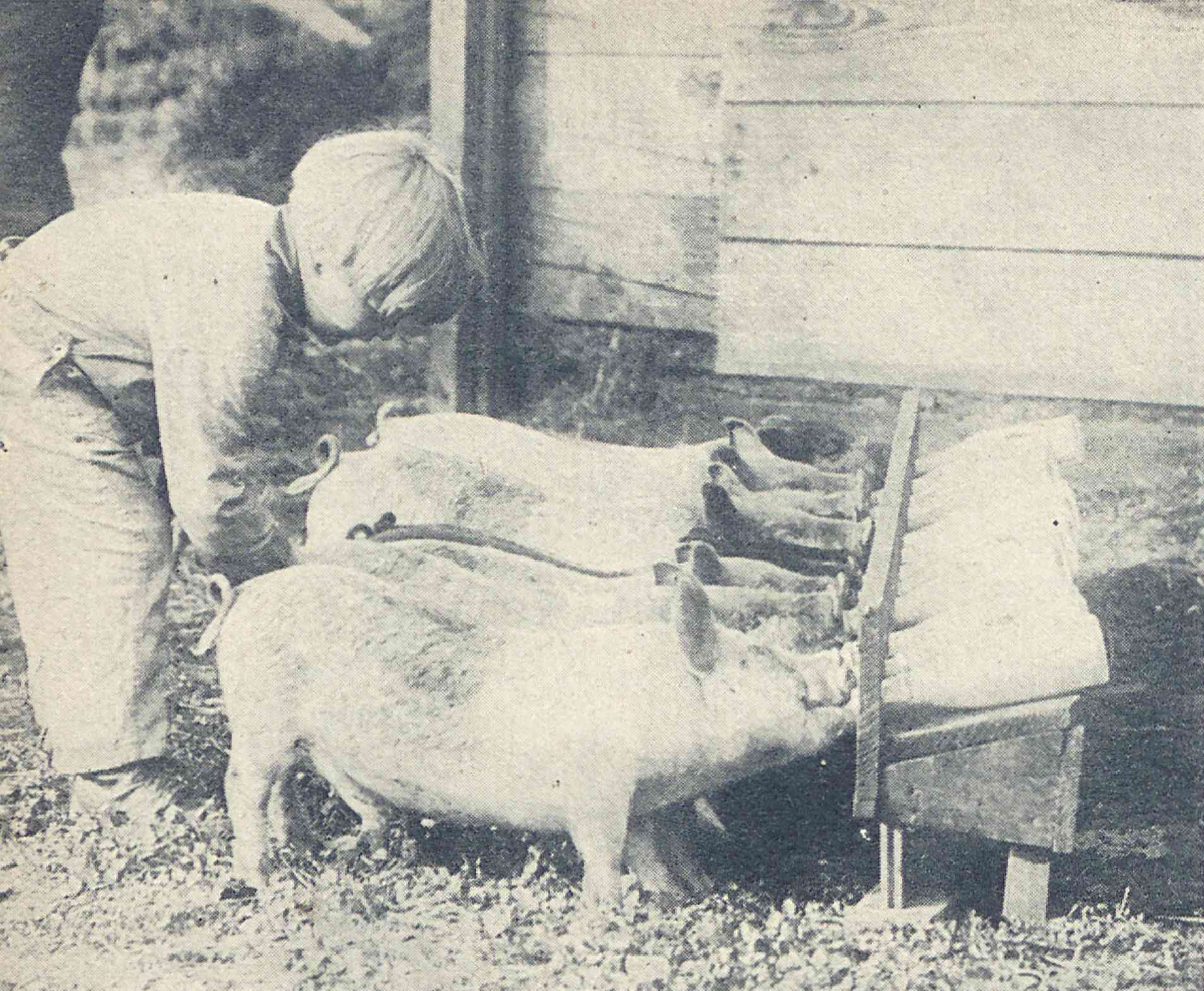
— Do kogo telefonuje automat zegarowy (0,5), kiedy nie wie, która godzina?

* * *

— Dlaczego Bozia, kiedy się gniewa na niegrzeczne dzieci, to grzmi, zamiast powiedzieć, o co chodzi?



— Czy trzej królowie do Ziemi Świętej jechali z wycieczką „Orbisa?"



Dzieci i zwierzęta

Największym przyjacielem człowieka jest zwierzę. Umie kochać i nigdy nie zrobi najmniejszej krzywdy, jeśli okazać mu chociaż odrobinę serca. Wdzięczne jest za każdą łyżkę strawy, za okruch pieszczoty.

Niestety, w bardzo wielu wypadkach człowiek jest okrutny dla zwierząt. Męczy je, dręczy, wykorzystuje swoją siłę i rozum w kierunku jak najgorszym.

Dlatego od dziecka już powinniśmy się uczyć miłości dla zwierząt. Czyż jest coś milszego na świecie od małego kociaka, niezdarnego szczeniaka o pokracznych nogach i sierści miękkiej jak puch, lub wreszcie od różowej, pociesznej świnki, z zakręconym filuternie ogonkiem.

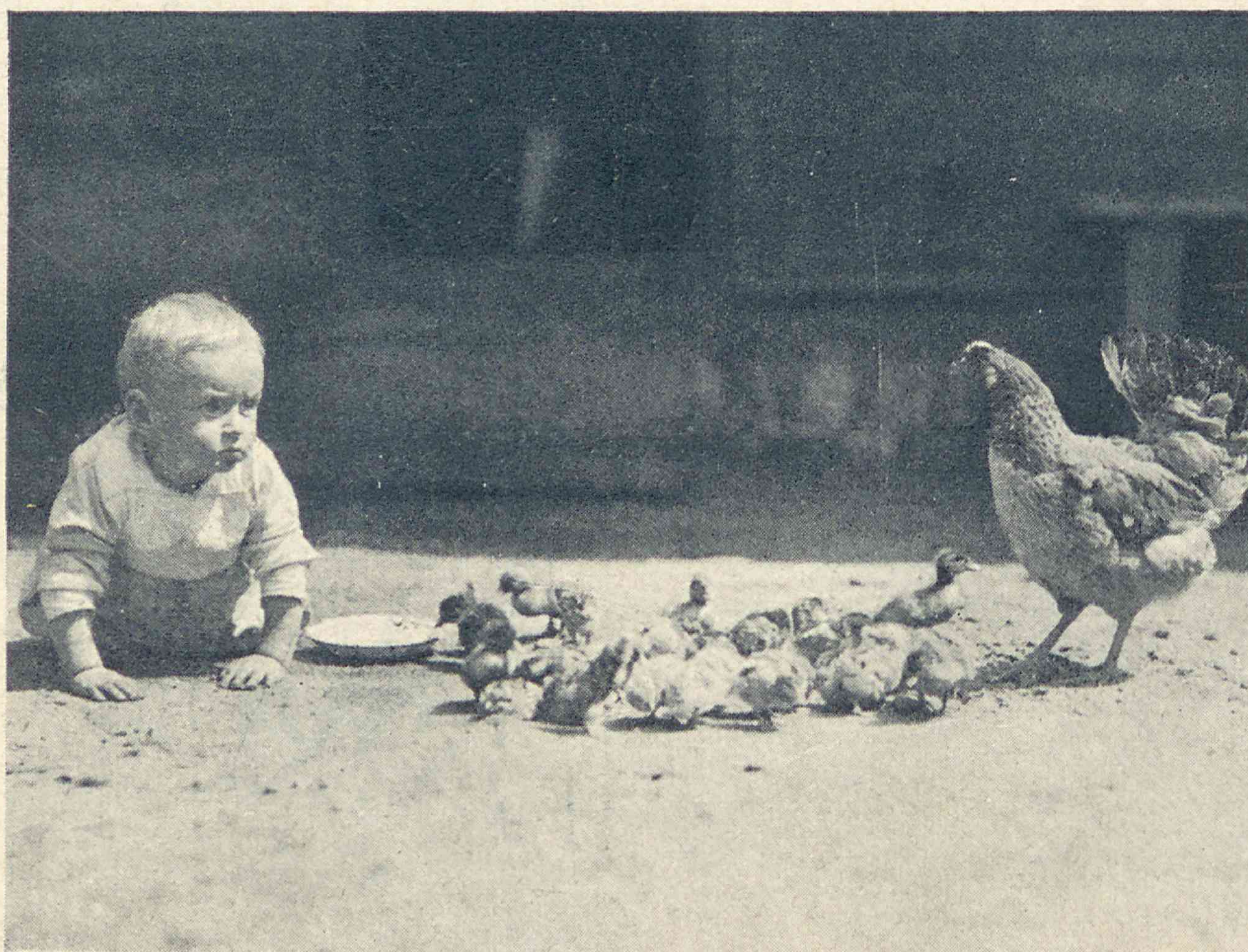
Na każdem wiejskiem podwórku dzieją się ucieszne historje, których bohaterami są dzieci i zwierzęta. Historje nieraz tragiczne, lecz zawsze dobrze się kończące — obopólnem porozumieniem.

W praktycznych państwach zachodnich malec, ledwie od ziemi odrośnie, już żywo interesuje się gospodarstwem, a przedewszystkiem żywym inwentarzem, często zaglądając do swoich pupilów, które gwoli lepszego odżywienia dostają mleko w butelkach.

Jak cieszy się chłopiec, słysząc rozkoszne mlaskanie, cmokanie swoich pupilów i widząc coraz bardziej zaokrąglające się boki.

Czasem zetknięcie się dziecka z ciekawemi, łakomemi prosiątkami kończy się klęską. W zakątku podwórza zjawiają się nagle nieproszeni goście, bezceremonjalnie odpychają maleństwo od miski i tragedja gotowa. Wrzask, krzyk, żałosne wołanie o pomoc, która nadejdzie wówczas dopiero, gdy miska będzie zupełnie pusta.





Wszyscy mieszkańcy podwórza odznaczają się wyjątkowym apetytem. Jedzenie to wróg najgorszy, trzeba je niszczyć. Potrafią to nietylko prosiaczki, ale i świeżo wylęgnięte kurczęta, które wyruszają na aprowizacyjne podboje pod opieką doświadczonej matki.

Chwila wzajemnej obserwacji, wyczekiwania i już, co śmielsze, maleńkie dziobki dzwonią o brzeg talerza..

Za kilka dni przyjaźń zostanie zawarta i wszyscy zgodnie jadać będą z jednej miski.

Po chwilowych bowiem nieporozumieniach zwierzę staje się najserdeczniejszym przyjacielem dziecka.

A przyjaźni tego rodzaju lekceważyć nie należy.

Anegdoty teatralne

Henryk Kawalski, bas opery warszawskiej, odznaczał się, prócz głosu, wybitnym talentem charakterystycznym aktorskim i młodzieńczą urodą. Chociaż modą aktorską, wypływającą zresztą także z wygody, było wówczas — jak jest i dziś — golenie wąsów i brody — Kawalski nosił piękny, czarny wąs, dziewiczy — jak go nazywał, którego brzytwa nie tknęła od urodzenia.

Wielkim ewenementem w Warszawie było pozwolenie władz rosyjskich, udzielone operze na wystawienie w teatrze Wielkim „Widm" Mickiewicza z muzyką Moniuszki.

Kawalskiego obsadzono w roli widma. Chcąc się ucharakteryzować na Mickiewicza portretowo, zdecydował się z bólem serca po raz pierwszy w życiu zgolić wąsy.

Rzeczywiście na generalnej próbie wyglądał znakomicie. Zdawało się, że sam autor zjawił się na scenie, kiedy wszedł Kawalski w rozwartej na piersiach koszuli, z krwawiącą raną.

Ba! Ale cóż. Zaraz po skończonej próbie w garderobie śpiewaka zjawił się prezes teatrów, generał rosyjski i rozkazał apodyktycznie:

— Gaspadin Kawalskij, zawtra na spiektakle nakleitie siebie usiki...*).

* * *

Aktorzy dość często bywają roztargnieni. Prawdopodobnie wypływa to z gorączkowego i nerwowego ich zajęcia.

Poczesne miejsce wśród roztargnionych aktorów zajmuje Juljan Krzewiński.

Grając w Teatrze Polskim w „Rywalach", amerykańskiej, wojennej sztuce — francuskiego oberżystę — nosił typowy aksamitny kostjum o szerokich spodniach, zwężających się w kostce i fałdującą się, szeroką bluzę. Skończywszy jedno z przedstawień i rozcharakteryzowawszy się, zapomniał zmienić teatralny kostjum na swe domowe ubranie. Włożywszy na kostjum oberżysty futro, wrócił tak do domu.

Służąca wpuściła go do ciemnego przedpokoju, i gdy rozebrał się z futra i palto chciał już powiesić, służąca odezwała się doń:

— Pana niema. Jeszcze nie wrócił z teatru.

Kostjum tak zmienił sylwetkę jej chlebodawcy, iż wzięła go za jakiegoś gościa. Krzewiński, nie chcąc kompromitować przed służącą swego roztargnienia, nie wyprowadził jej z błędu. Szybko zarzucił futro na siebie i wrócił do teatru przebrać się czemprędzej w „cywilny garnitur".

---

*) Pan Kawalski jutro na przedstawieniu przyklei sobie wąsiki.

Zarys encyklopedyczny „Świat i Życie"

Red. prof. dr. Z. Łempicki.
Wyd. Książnica — Atlas.

Ukazał się już zeszyt 10 tomu II wyd. „Świat i Życie", zawierający następujące artykuły z różnych dziedzin nauki i życia: Kartele, koncerny i trusty — T. Sławiński. Kaszubi — M. Jarosławski. Kataliza — dr. S. Pleśniewicz. Katolicyzm — Prof. dr. Z. Kozubski. Kauczuk — E. Kahl. Kino — dr. W. Staszewski. Klasycyzm — Prof. dr. T. Sinko — prof. dr. W. Tatarkiewicz. Klimat — R. Gumiński. Koleje — inż. S. Skawiński. Koloidy — dr. S. Pleśniewicz. Kolonje — dr. J. Retinger. Coloseum — J. Parandowski. Komedja — prof. dr. Z. Łempicki. Komizm — prof. dr. Wł. Witwicki. Komórka — dr. J. Zweibaum.

Niezwykle starannie dobrane ilustracje uzupełniają ten zeszyt.

Anegdoty teatralne

„Russkoje Sobranje" w Warszawie czyniło od dłuższego czasu starania o to, aby sale redutowe w gmachu teatru Wielkiego przeznaczyć na stały teatr rosyjski.

Wiceprezesem teatrów rządowych był wówczas znany literat i teatroman, Kazimierz Hulewicz. W nieobecności prezesa Małyszewa, który bawił na urlopie, władze petersburskie poleciły Hulewiczowi oddanie sal redutowych do dyspozycji „Russkomu Sobranju", aby to towarzystwo zorganizowało tam przedstawienia w języku rosyjskim.

Dobremu patryjocie polskiemu, jakim był Hulewicz, nie w smak wielce poszła rola, jaką chciano mu narzucić — rusyfikatora historycznych sal redutowych. Starał się odwieść zarząd „Russkowo Sobranja" od założenia w nich teatru. Zapewnił tych rusyfikatorskich działaczy, że sale redutowe nie nadają się na widowiska, że wymagałyby gruntownego remontu kosztem conajmniej stu tysięcy rubli.

Inicjatorzy stałych rosyjskich przedstawień w Warszawie wielce podejrzliwie traktowali objekcje wiceprezesa teatrów. Ten, widząc, że nie potrafi sam zrazić petentów do zamierzonego celu, zawołał na pomoc kapitana Spiryna, którego znano z tego, że był typowym rosyjskim urzędnikiem „Priwislinja", zagorzałym biurokratą i pedantem w wypełnianiu zleceń z samego Petersburga pochodzących. Hulewicz w obecności przedstawicieli „Russkowo Sobranja" spytał Spiryna, który był inspektorem gmachów wszystkich teatrów rządowych, czy jego zdaniem byłoby wskazane urządzenie teatru w salach redutowych. Sprytny urzędnik z tonu zapytania swego zwierzchnika w mig wywnioskował, jaka powinna być jego odpowiedź, aby zadowoliła Hulewicza. I zaczął dowodzić, że w tym stanie, w jakim się teraz sale znajdują, nie nadają się absolutnie do celu, jaki chciało im narzucić „Russkoje Sobranje". Aby raz na zawsze obrzydzić petentom niefortunny projekt, kapitan Spiryn dodał, że właśnie dopiero co jego siostrzeniec przechodził pod balkonem w salach redutowych i uległ poważnemu poszwankowaniu zpowodu urwania się gzymsu z galerji.

Faktycznie to ocaliło sale redutowe dla przyszłego polskiego teatru Osterwy — „Reduty".

Na drugi dzień inspektor Spiryn zjawił się u wiceprezesa teatrów z prośbą o wyasygnowanie pewnej sumy na leczenie chorego siostrzeńca, który tak szczęśliwie ocalił sale redutowe... nie istniejąc na świecie.

KRONIKA WYDAWNICZA

(Książki nadesłane do redakcji)

Ostatnio ukazały się na rynku księgarskim następujące nowości Tow. Wydawniczego „Rój" w Warszawie:

Paul Morand „Maks Kron kręci film" (France la douce). Powieść reportaż. Przekład Heleny Hellerówny.

Włodzimierz Lidin: „Grób nieznanego żołnierza", Powieść. Przekład Haliny Pilichowskiej.

Ilja Erenburg „Dzień wtóry". Powieść. Przekład Aleksandra Wata.

Upton Sinclair „Pielgrzymka miłości". Powieść. Przekład Antoniny Sokolicz.

Antonina Sokolicz „Cesarskie cięcie". Powieść społeczna z lat przełomowych 1863—69.

Bertrand Russel „Drogi do wolności". (Socjalizm, anarchizm i syndykalizm). Przekład Amelji Kurlandzkiej.

Aleksy Tołstoj. „Eksperyment inżyniera Garina". Powieść, 2 tomy, Przekład Alicji i Anatola Sternów.

SZKOLNICTWO POLSKIE ZAGRANICĄ

W dniu 4 grudnia b. r. w lokalu Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą odbyło się posiedzenie Komitetu Wykonawczego Zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą na rok 1935.

Po zagajeniu zebrania przez Prezesa Komitetu Wykonawczego, p. dr. Bronisława Hełczyńskiego, wygłosił krótki referat o szkolnictwie polskiem zagranicą p. wizytator Seweryn Maciszewski, omawiając sposoby zorganizowania zbiórki wśród młodzieży szkolnej.

Wzorem lat ubiegłych, akcja tegoroczna nie będzie ograniczała się jedynie do samej zbiórki, lecz stanowić będzie również propagandę szkolnictwa polskiego zagranicą, polegającą na uświadamianiu młodzieży szkolnej o problemach, potrzebach i trudnościach Szkoły Polskiej Zagranicą oraz o palącej konieczności utrzymania wśród 1.200.000 młodzieży polskiej zagranicą poczucia narodowego.

Akcja ta ma być prowadzona przez całe nauczycielstwo przy pomocy odczytów w szkołach i pogadanek z dziećmi, wyjaśniających trudne położenie Szkoły Polskiej na obczyźnie.

Obecni na zebraniu przedstawiciele organizacyj nauczycielskich przedstawiony przez p. wizytatora Maciszewskiego plan przeprowadzenia zbiórki oraz akcji uświadamiającej przyjęli, zgłaszając jednocześnie swoją współpracę w akcji zbiórkowej.

Na Święta na twym stole
Wiedz o tem dziewczyno,
Ma być tylko polskie
Makowskiego wino.
Szampany i miody
Na świąteczne gody.

Cukiernie

B. Żmijewskiego

Krakowskie 1. Tel. 6.39.39
Nowy Świat 1. „ 9.53.93
Czerniakowska Nr. 196.
Tel. 9.80.28

Polecają na Święta
wszystkie wyroby cukierni-
cze po cenach zniżonych.

Firma egzystuje od roku 1896.

Po powrocie z Paryża

B. MAZURKIEWICZ

poleca

ostatnie modele artystycznych wyrobów z włosów
oraz wykonuje trwałą ondulację i farbowanie
włosów, według ostatnich wymagań techniki
Nowy Świat 40 gdzie Kino „PAN".

WYBOROWE
CIASTO ŚWIĄTECZNE
poleca:

J. GAJEWSKI

CHMIELNA 47a. TEL. 749-40.

PASZTECIARNIA

„POD GWIAZDĄ"

Kredytowa 14, tel. 671-15

Zaprasza na rybkę przyjmuje zamó-
wienia do domów.

Na miejscu dania zimne i gorące
wykwintne paszteły i sałatki

WINA — WÓDKI

NA GWIAZDKĘ!
OBUWIE I ŚNIEGOWCE
dla dzieci
J. Bocheński i Fr. Raczek
NOWY ŚWIAT 1.



NAJPIĘKNIEJSZY PODARUNEK
krawat z firmy
RECORD CRAVATES
WARSZAWA MARSZAŁKOWSKA 137
Oddziały: — Kraków — Lwów — Bydgoszcz



CENA WRAZ Z 4 LAMPAMI
Zł. **280**

TELEFUNKEN TRYUMF

3 ZAKRESY FAL. ODBIÓR STACJI
EUROPEJSKICH i ZAMORSKICH
ELEKTRODYNAMICZNY GŁOŚNIK

ZAKŁAD FRYZJERSKI i PERFUMERJA
„Wiktor Piasecki i S-ka"
Nowy Świat 28, tel. 2-23-23
ma zaszczyt zawiadomić J. W. P. P. o otwarciu
SALONU MĘSKIEGO
według ostatnich wymagań techniki i hy-
gieny, polecając go łaskawym wzglę-
dom P. T. Panów.

TRYKOTAŻE ciepłe i praktyczne na GWIAZDKĘ

POLECA **JAN MATUSZEWSKI**

NOWY-ŚWIAT 40 • MARSZAŁKOWSKA 102 • MARSZAŁKOWSKA 154 • CHMIELNA 33

SZKOCKIE HISTORJE

Znanem jest skąpstwo Szkotów. Powiedzenie: „Był raz pewien Szkot", znamionujące początek opowiadania, wywołuje już z górv uśmiech na ustach każdego Anglika, nawet najbardziej flegmatycznego.

Niewiele przesady jest podobno w opowiadaniu o Klubie Piłki Nożnej w Aberdeen (Szkocja), który... rozwiązał się, gdy pękła mu piłka, — nawiasem mówiąc, po pięćdziesięcioletniem używaniu. Albo ten kuc szkocki, zaprzężony do wózka dziecinnego, który nie chciał w żaden sposób ruszyć z miejsca, mimo iż właściciel okładał go nielitościwie. Później, gdy udało się wreszcie skłonić zwierzę do posunięcia się, okazało się, iż pod jego kopytem znajdowała się moneta półpensowa.

Był też pewien Szkot, który przyjechawszy w odwiedziny do swego przyjaciela w Londynie, czuł się tam tak dobrze, że nie chciał wracać do domu. Zniecierpliwiony Anglik, chcąc pozbyć się wreszcie upartego gościa, zrobił mu prezent w postaci .....biletu powrotnego do Szkocji. Gość, wcale nie zrażony tem, ucieszył się ogromnie, i wyjeżdżając przyrzekł gospodarzowi, iż przyśle mu, w dowód wdzięczności, piękną, dużą kurę.

Minął rok, ale kura nie przybywała. Zjawił się natomiast ponownie Szkot. Gdy londyński przyjaciel zagadnął go kiedyś delikatnie o tę kurę, ten odpowiedział:

— Widzisz, mój drogi, to było tak. Kiedy w zeszłym roku wyjeżdżałem do ciebie z wizytą, ten kurczak był bardzo chory. A kiedym wrócił, to wyobraź sobie, że on się świetnie miał i nawet znosił jajka...

Prócz skąpstwa, słyną Szkoci z chytrości. Wiadomo, iż ubóstwiają, oni whisky. Każde zło i dolegliwość zwalczają przy pomocy tego trunku. „Zimno ci? Whisky cię rozgrzeje. Zgrzałeś się? Whisky cię orzeźwi. Jeżeliś głodny, to whisky cię pożywi, a kiedy nie masz apetytu, to ci go wzbudzi. Jesteś smutny? — wshiky odpędzi twe zgryzoty. Jesteś za wesoły? — whisky potrafi cię okiełznać. Obdarzone różnemi właściwościami leczniczemi, whisky cieszy się u Szkotów o wiele większem powodzeniem, aniżeli olej rycynowy lub jodyna.

I oto znalazł się pewien biskup szkocki, który zakazał swoim wiernym picia whisky... „Oddalcie od waszych ust wszelkie napoje alkoholiczne, a zwłaszcza whisky, które nie jest niczem innem, jak powolną trucizną".

— Oj, bardzo powolną, ozwał się jeden z wiernych, bo ja się już nią upijam od 80-ciu lat...

Jednak, przytłaczająca większość wiernych, wzruszona słowami świątobliwego męża, złożyła niezwłoczną przysięgę, że już nigdy nie wypije ani jednego kieliszka whisky. I dotrzymali słowa, gdyż poczynając od tego dnia pili whisky tylko szklankami.

Znany jest, jako fakt autentyczny, wypadek samochodowy, jaki miał miejsce w Szkocji, na drodze z Edinburgh do Leith. W czasie tego wypadku *5-cioosobowy* Chevrolet rozbił się o słup kilometrowy, przyczem zginął szofer, a *14-stu pasażerów* (!) odniosło mniej lub więcej ciężkie rany i kontuzje.

Innym razem, zderzyły się dwa auta w okolicy Edinburgha. Obaj szoferzy odnieśli pewne obrażenia (jeden był Anglik, a druki Szkot). Pierwszy przyszedł do siebie Szkot. Podbiegł on do Anglika, by go ocucić, wlewając mu do ust whisky, z flaszki, którą — jako prawdziwy Szkot — nosił stale przy sobie; połowę zawartości butelki zostawił jednak nietkniętą, ale... sam się nie napił ani kropli.

Gdy na miejsce wypadku przybył policjant, nasz Szkot przekonał go łatwo, że szofer — Anglik był pijany (bo aż buchał mu zapach alkoholu z ust), więc on był odpowiedzialny za wypadek.... „A sam jestem zupełnie trzeźwy, niech pan władza powącha oddech". Dopiero po spisaniu protokułu przebiegły Szkot wychylił tryumfująco drugą połowę butelki.

Wreszcie, któż nie zna historji o tym szczodrym londyńczyku, który po przebyciu ciężkiej operacji potrzebował trzykrotnej transfuzji krwi. Zaofiarował mu ją pewien Szkot.

Po przeprowadzeniu pierwszej transfuzji Anglik kazał dać swojemu wybawcy 50 funtów. Po drugiej — dał mu tylko 25, a po trzeciej — nic... Gdy zapytano Szkota, czy nie dziwi go to lub oburza, ten odrzekł:

— Wcale nie. Doskonale rozumiem, że jegomość ten, mając w swoich żyłach trzy litry krwi szkockiej, stał się tak samo skąpy, jak rdzenny Szkot!

Z FILHARMONJI

Na piątkowym koncercie symfonicznym wystąpi fenomenalna pianistka duńska, France Ellegaard, która wykona z orkiestrą koncert d-moll Mozarta i Fantazję Węgierską Liszta. Część orkiestrowa trzy fugi Bacha w opracowaniu Emila Młynarskiego i druga symfonja Beethovena. Dyryguje p. M. Mierzejewski. Poranek niedzielny wypełnią utwory Griega. Solistką będzie P. Zofja Rabcewiczowa. Orkiestrą dyrygować będzie P. Józef Oziminski.

ŚWIAT FILMU

„Dama z Moulin Rouge" — *Atlantic.* Nikczemna bzdura, podana w amerykańskim niezawodnym sosie. Kiedy kochający mąż (gra Franchot Tone) nie chce pozwolić żonie występować na scenie — kochająca żona ucieka mu z domu. Początek jeszcze względnie najprawdopodobniejszy. Atoli dalej: nagle zjawia się szczególnym przypadkiem paryska gwiazda z „Moulen Rouge", która (szczególny przypadek Nr. 2) jest uderzająco podobna do kochającej żony i która (szcz. prz. Nr. 3) przed laty występowała z nią razem w paryskim teatrzyku.

Paryska gwiazda ma kochanka (gra fatalnie Iwan Lebiedlew). Kochanek nagle ma już dosyć tryumfów i wielbicieli paryskiej gwiazdy i żąda miłości na ustroniu, gdzie „świat byłby tylko dla nich dwojga". Z tego szczególnego przypadku Nr. 4 wynika, że kochająca żona z racji starej przyjaźni podejmuje się dublować paryską gwiazdę do czasu premjery.

Żona robi się na blondynkę — zmienia uczesanie, zaczyna mówić *r* z lekkim charkotem i w ten sposób do złudzenia imituje swoją paryską koleżankę.

Najdziwniejsze jest w tem wszystkiem, że rodzony mąż nie poznaje się na tem. Zakochuje się we własnej żonie — przeżywając jednocześnie skomplikowane skrupuły w stosunku do tejże samej żony w stanie — powiedzmy — naturalnym. Jest bardzo mało prawdopodobnem, żeby między małżeństwem, które po czterech latach małżeńskiego pożycia całuje się po każdej sprzeczce, mąż nie poznał żony przy pierwszem zbliżeniu tylko z powodu zmiany uczesania.

Zresztą sam pomysł „trójkąta małżeńskiego o dwuch kątach" jest dość frapujący i nie należałoby mieć nic przeciw niemu, gdyby nie bezsensowny i niewyszukany sposób, w jaki został wprowadzony do akcji.

Razi dotkliwy brak logicznego podkładu dla sytuacyj, które w końcu mogłyby być zabawne, niestety giną w odmęcie nieprawdziwych wydarzeń i szczególnych przypadków. Ostatecznie widz, na którego się w pierwszym rzędzie liczy przy robocie podobnych filmów, zaczyna sobie zdawać sprawę, że coś „nie całkiem jest w porządku", że go potraktowano zdawkowo i zaczyna tupać, jak to uczynił pewien starszy, nobliwie wyglądający pan, który siedział koło mnie na seansie.

Że reszta widzów nie tupała, należy to sobie wytłomaczyć przedewszystkiem przyzwyczajeniem: przywykliśmy z pewnem pobłażaniem traktować nikłą i zazwyczaj bzdurną akcję. Pozatem należy przyznać, że była bogata wystawa, piękne dziewczęta, błyskotliwe tempo, niezgorsza gra aktorów — ale dobrego filmu, na który czekamy już oddawna, nie było! *St. Z.*



Ludzie bez nerwów

Wielki, okrągły gmach o strzelistym dachu. Na murach pstrokolorowe plakaty z fascynującemi rysunkami. Mężczyzna w czerwonym trykocie trzyma głowę w paszczy rozjuszonego lwa, na innym olbrzymi słoń gra na katarynce, tam znów piramida akrobatów. Na następnej papierowej płachcie pociesznie wykrzywiona gęba klowna, wdzięcząca się do czarnowłosej piękności, tańczącej na drucie.

A wewnątrz gmachu specyficzna woń stajni, piasku, dzikich zwierząt i słomy. Wysoko, bardzo wysoko, pod strzelistym dachem, mleczne kule elektrycznych lamp, tajemnicza plątanina sznurów i lin, zimny, metaliczny blask trapezów, stalowych klamer, obręczy.

Cyrk....

W lamusie dziecinnych wspomnień niezapomniany, jedyny wieczór, nieprzeżywanych już nigdy emocji. Wiele razy potem było się w cyrku, ale ten pierwszy wieczór był najpiękniejszy. A nazajutrz i przez wiele miesięcy skryte, tajemnicze marzenia, aby zostać żonglerem, lub robić wspaniałe salto-mortale przez grzbiety kilkunastu koni, lub pod samą kopułą skakać z rozhuśtanego trapezu na drugi. I szereg niefortunnych prób ze spodkami, piramidą krzeseł, zakończonych potężnym guzem, rozkrwawionym nosem, lub intymną rozmową w pokoju ojca...

Jest w cyrku jakiś fascynujący urok. Może to działanie charakterystycznej woni, głośnej, skocznej muzyki, tajemniczych masztów i siatek — czy wreszcie tych wszystkich ludzi, którzy dzień w dzień narażają życie, by popisywać się zręcznością, doprowadzić do mistrzostwa prawo równowagi, lub pozornie drwić w oczy z niewzruszonych zasad fizyki. A może ta różnorodność i równoczesność najrozmaitszych atrakcji, jakich nie jest w stanie dostarczyć żadne inne widowisko.

Klowni, ów najważniejszy punkt zainteresowania galerjo, rasowe, ślicznie tresowane konie, zdumiewające inteligencją, ociężałe kolosy-słonie, które kilku uderzeniami trąby potrafiłyby zamienić na miazgę cały cyrk wraz z publicznością, zwinni akrobaci, pod uśmiechami których czai się prowokowanie śmierci, nieprawdopodobna zręczność żonglerów, zamieniających wszystkie niemal przedmioty w żywe, podległe woli rąk istoty, klatki pełne dzikich bestji posłusznych i pozornie nieszkodliwych, mistrzowskie ewolucje na trapezach, czy opartych o głowę masztach, gdy półmilimetrowe odchylenie, lub nadprogramowy ruch palca jest równoznacz-

TRIO komików 2 Torres i Mucha w Cyrku Warszawskim



ny z wyrokiem śmierci, lub dożywotniem kalectwem.

Artyści cyrkowi doprowadzili bowiem do doskonałości opanowanie mięśni i współżycie ze zwierzętami. Dwie różne inteligencje połączyły się w jedną, artystyczną całość, celem której jest maksimum efektu. Czasami napozór nieskomplikowana sztuczka wymaga całych lat ćwiczeń, wystawiania na krańcową próbę cierpliwości, powtarzania jednego i tego samego ruchu setki, tysiące razy, aż stanie się on niezawodny. Ci roześmiani, błyszczący cekinami i jaskrawością kostjumów ludzie cyrku, to ludzie mrówczej pracy, pędzący, wbrew fałszywej opinji, życie wprost zakonne, uregulowane co do minuty, hygieniczne, uniemożliwiające wszelkie ekscesy. Zwłaszcza akrobaci, pogromcy dzikich zwierząt i ekwilibryści. Nerwy i mięśnie muszą być stale w formie, cień zmęczenia czy niepokoju może zakończyć się katastrofą.

Zwierzę bowiem, szóstym, czy siódmym zmysłem, nieznanym człowiekowi, wyczuwa jego nastrój, a wtedy wystarczy jedno kłapnięcie szczękami, błyskawiczny skok i piasek areny barwi się krwią. Wypadki tego rodzaju zdarzają się niekiedy.

Nieodzownym aktorem w cyrku są zwierzęta dzikie i domowe. Patrząc na ich popisy, ze zdumieniem ocenia się ten ogrom inteligencji, poddania się woli trenera i wyraźne oznaki zadowolenia, zwłaszcza u psów i koni, gdy cały numer wypadnie bez żadnej usterki. A rezultaty te otrzymuje się wyłącznie za pomocą cierpliwości, łagodności i jeszcze raz cierpliwości. Ongi stosowane przy tresurze metody terroru i brutalności zostały odrzucone. Zwierzę bowiem albo tępiało, zatracając ambicję, albo wreszcie wyczekiwało na godzinę zemsty, która zwykle bywała straszna. Dziś artysta cyrkowy i zwierzę starają się wzajemnie zrozumieć, wytworzyć platformę współżycia i współpracy. Nawiązanie tego stosunku zaczyna się naturalnie od najwcześniejszej młodości czworonożnego towarzysza.

Jeszcze do niedawna znajdowało się w obiegu obelżywe słowo „cyrkowiec". Najniesłuszniejsze zresztą. Zawód „cyrkowca" to ciężki kawałek chleba. Wyrzeczenie się wielu przyjemności, ustawiczna praca nad doskonaleniem się w swojej specjalności, troskliwa kontrola mięśni, nerwów. Igranie ze śmiercią, gdzieś na dnie duszy podświadoma myśl, czy występ dzisiejszy nie będzie ostatnim... A to wszystko dla nas, dla naszej uciechy, dla dostarczenia dreszczu sensacji, urozmaicenia zimowego, nudnego wieczoru. Wyzbycie się swoich nerwów dla zadowolenia naszych...

* * *

Ostatni program cyrku Staniewskich składa się z szeregu pierwszorzędnych numerów. Znakomici hiszpańscy gimnastycy „Satsuma i Nana" doprowadzili zręczność do rewelacyjnych wyników, wdzięczny jest kwartet cudownych dzieci koncertujących na ksylofonach i butelkach, szlachetny komizm reprezentują „Torres i Mucha". Tancerz na drucie „Don Del Moule" zdystansować może wszystkie gwiazdy baletowe, a konie Emmy Truzzi zachwycają rasą i inteligencją. Szczytem zręczności są popisy żonglerskie „The Adanos", bardzo charme i oryginalne w doborze rekwizytów.

Główną część widowiska wypełnia hinduski fakir Blacaman. Chodzenie gołemi stopami po wyostrzonych szablach, zakopywanie do ziemi, ułożenie na dwóch stalowych nożach i równocześnie rozbijanie kamiennej płyty na piersiach, czy tłuczenie szkła nagiemi plecami, to popisy przekraczające już granice „zrozumienia". Niemniej ciekawe są eksperymenty z hypnotyzowaniem kogutów, wężów, krokodyli i lwów.

J. S. W.





The Adonos, król żonglerów.



„KĄCIK PRAKTYCZNY"

„NASZE RYBY"

Nie wiem, doprawdy, czemu jadamy tak mało ryb? Gdy doktór komu z domowników zaordynuje białomięsną dyetę, gospodyni wciąż oscyluje pomiędzy mdłą cielęciną a kościstą kurą, zapominając o rosole z lina lub miętusa, o kotlecie z każdej prawie ryby, o rybie gotowanej nawet bez żadnego sosu, wprost ze świeżem masłem podanej.

W naszych skróconych, powojennych obiadach, przeważnie składających się z trzech dań tylko, niema coprawda miejsca na rybę, — ale czemużby pieczystego lub dania mięsnego nie zastąpić rybą, smaczną, zdrową, lekkostrawną rybą?

Pokutuje jeszcze legenda o rzekomej drożyźnie ryb, i to dzisiaj, kiedy żywe karpie nieomal zrównały się w cenie z wołowiną, a są znacznie tańsze od dobrej cielęciny, zaś sandacze, liny i karasie kosztują równo czwartą część tego, cośmy za nie przed czterema laty płacili.

Ryby morskie, stanowiące podstawowy artykuł pożywienia średnio zamożnych klas w Niemczech i we Francji, są u nas w pogardzie. Lata całe przeszły, zanim udało się przekonać gospodynie stołecznego miasta Warszawy, że biały dorsz jest smaczny i że może we wszelkiej przyprawie zastąpić sandacza, a biały dorsz „cabilladu" zajmuje zaszczytne miejsce w jadłospisach nietylko pomawianego o niesmaczną kuchnię Berlina, lecz i raju smakoszów, Paryża, tylko że należy go umieć przyrządzić! Przez całą wiosnę i lato mieliśmy obfitość tych dorszy. Przychodziły one w stanie doskonałego zamrożenia z naszego polskiego morza, a kosztowały nieomal połowę ceny zwykłego, rosołowego mięsa.

Jest rodzaj posiłków, w których ryby nasze czy to morskie czy to słodkowodne powinny zająć poczesne miejsce — to zimne kolacje, zimne przekąski bridge'owe, no i wystawniejsze a jednak często urządzane bufety. „Majonez z łososia a nawet z dużego sandacza jest dla mnie za kosztowny" — powie na to przeciętna gospodyni. W odpowiedzi na to podam parę sposobów przyrządzania zimnych ryb bez majonezu, sposobów dostępnych skromnym i najskromniejszym kieszeniom.

„Karp po królewsku"

Z półtorakilowego karpia wyjąć mięso wraz z ośćmi, nie naruszając przytem skóry. Żeby sobie to ułatwić, zacząć od przerąbania grzbietowej ości około głowy i złamaniu jej u ogona. Starannie obrane mięso, wątróbkę i mleczko karpia usiekać, dodając utartą na tarce, dużą cukrową cebulę, 20 dkg. wymoczonej w wodzie lub mleku i doskonale odciśniętej bułeczki, dwa jaja całe, soli i pieprzu do smaku. Do doskonale wyrobionego farszu dodać garść rodzenek - sułtana i garść słodkich, pokrajanych w cienkie paski migdałów. Nadziać tem rybę, zaszyć, owinąć w nasmarowany masłem pergamin i upiec w piecu jak pieczyste. Po wyjęciu z pieca papier odwinąć, aby nie przystał, znów zawinąć weń rybę i doskonale ostudzić. Z ości i włoszczyzny z pieprzem, zielem i listkiem ugotować trzy szklanki rosołu, sklarować, zaprawić 6 listkami białej żelatyny i paru kroplami karmelu. Rybę pokrajaną w plastry ułożyć na półmisku, zalać galaretą i zastudzić. Do niej podać chrzan z octem lub — kogo na to stać — sos majonezowy.

Jeszcze tańsze będą

„Morskie sielawki po grecku"

Dwa lub trzy kilogramy sielawek oczyścić, osolić, odrzucić główki, utarzać w mące, usmarzyć na oleju lub na fryturze. Kilka sztuk marchwi, tyleż pietruszki, parę porów i pół seleru pokrajać w cienkie paski, podlać paru łyżkami wody i dusić na parze, aż nawpół zmiękną. (Jarzyn powinno być około 1 kg.). Dodać również drobno pokrajane cztery cebule i pół główki włoskiej kapusty, filiżankę oliwy (może być orzechowa lub z soi), 10 dkg. ekstraktu pomidorowego, po kilka ziarn pieprzu i ziela, dwa listki, dusić jeszcze wszystko razem, aż cebula i kapusta dojdą. Wlać półtorej szklanki dobrego, spirytusowego octu i raz jeszcze wszystko razem zagotować. Ostudzić jarzyny, pokryć niemi ułożone w głębokim półmisku lub salaterce ryby. Podawać w 24 godziny po zrobieniu.

Pani Elżbieta.

KOSMETYKA PANI ZOJI

PIELĘGNACJA RĄK.

Miękkie, cudowne białe dłonie... Ładne ręce bezsprzecznie są dopełnieniem urody, należy się im również odpowiednia opieka.

Umywać ręce mydłem *tylko* przetłuszczonem, naprzemian gorącą i zimną wodą. Wycierać dokładnie do sucha, aby zapobiedz pierzchnięciu. Bodaj raz w tygodniu wcierać porcję kremu lanolinowego, starannie masując palce.

Przy usuwaniu skórki dookoła paznogci nie wycinać zbyt głęboko, gdyż niema nic brzydszego, jak poduszki nad paznogciami.

Piłować paznogcie w owal, aby wydłużyć formę palca. O ile paznogcie są kruche i łamliwe, posmarować parę razy sokiem *ze skórki* cytrynowej—środek niezawodny.

Kolor lakieru należy dobierać tylko do karnacji skóry. W ten sposób można każde ręce doprowadzić do ładnego wyglądu.

Ale jakieby nie były ręce ładne— sztuką jest umieć je ładnie trzymać.

Odpowiedź dla p. „Jur L.".

Na obydwa Pana listy, w sprawie pozbawienia się krost, mogę odpowiedzieć jedynie pod Pana własnym adresem, który uprzejmie proszę nadesłać wraz ze znaczkiem pocztowym.

SALON ESTHETIQUE ZOJA

Warszawa *Służewska 4.*

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji:

P. Zofji Iwanowskiej z Warszawy. Wyjeżdża Pani na Święta do Zakopanego i obawia się Pani złego wpływu na cerę ostrego powietrza i wiatru górskiego. Lekko przetłuszczony krem bezglicerynowy jakim jest popularny Krem Sportowy Antiba, nieco wtarty przed wycieczką w skórę twarzy, a przez wiele pań stosowany jako krem pod puder, znakomicie zabezpieczy i uchroni od zaczerwienienia i spierzchnięcia.

P. W. Skibińskiemu z Warszawy. Radzimy do codziennego pielęgnowania włosów stosować płyn „Vegetal" Antiba, który wzmacnia komórki włosowe i ułatwia układanie włosów. Przy włosach tłustych i łupieżu należy wcierać w skórę głowy płyn Pilosan „Antiba" codziennie, zwłaszcza po umyciu. „Pilosan" wzmacnia cebulki włosowe.

Helence z Warszawy. Uchroni się Pani całkowicie od zaczerwienienia i szorstkości rąk smarując nieco ręce galaretką na wodorostach morskich „Glicerijell"-Antiba. Na prezent dla kuzyna nadaje się świetnie czysta 90% woda kolońska Antiba.

SIDNEY RODIN

„MIŁOŚĆ ZOFJI"

(nowela)

Tomkins, ten cichy, łagodny człowieczek, który nigdy nie był w kolizji z prawem, popełnił czyn podwójnie karygodny. Zasadniczem przestępstwem było to, że coś pisał w książce z czytelni publicznej, drugiem była treść tego, co napisał. Przytem nie miał nawet miny wystraszonej. Przeciwnie — spoglądał czule i z przejęciem na zapisany margines.

Pobudką tego czynu była miłość. Pięćdziesięciosiedmioletni stary kawaler był zakochany. W kim — sam dokładnie nie wiedział.

Od czasu, gdy pozostał siedemnastoletnim sierotą, mieszkał samotnie w swoim ponurym pokoiku. Przez wszystkie te lata gotował sobie sam kolację, przyszywał urwane guziki, chodził do tego samego warsztatu meblarskiego i wracał niezmiennie do pustego mieszkanka.

Z czasem nastąpiły pewne zmiany. Jego zręczność w wyrabianiu mebli zaczęła mu dawać dobre dochody. Żył oszczędnie, może nawet skąpo i zebrał spory kapitał. Kiedy chodziło o pieniądze, był zawsze ekscentryczny. Lubił je trzymać przy sobie, jakby chciał obserwować, jak rosną.

Niedawno zrobił sobie garnitur mebli gabinetowych i w jednym z foteli urządził skrytkę, w której chował pieniądze. Pustelniczy sposób życia dał mu drugą oryginalną cechę, mianowicie głośne rozmawianie z sobą samym.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym mu obrzydł dźwięk własnego głosu.

— Powinien tu zabrzmieć inny głos, głos kobiety — myślał. Kobiety, nie sprytnej wiedźmy, jak jedna z jego poprzednich gospodyń, która chciała go wciągnąć w pułapkę dla jego pieniędzy i pozbawić go zupełnie jego indywidualności i prawa do życia tak jak mu się podobało.

— Nie takiej baby, Jerzy — mówił do siebie głośno, poprawiając ogień na kominku i kiwając żałośnie głową w stronę drugiego fotela; tego, który ukrywał w swojem wnętrzu pieniądze i na którym nikt jeszcze nie usiadł, prócz lekarza, kiedy zeszłej zimy kaszel Tomkinsa stał się szczególnie dokuczliwy.

— ....kobiety miłej i łagodnej, któraby dbała o moje wygody, a wieczorami siadywała ze mną przy kominku.

Podchodził do fotela, przyklękał z galanterją i deklamował: — Zofjo, padam na kolana przed tobą! Czy będziesz moją? Otoczę cię wszystkiem bogactwem, jakie posiadam — tu ręce rozkładał i tulił fotel w objęciach — i całą moją miłością....

Ani jedna sprężyna w miękkich poduszkach Zofji nie drgnęła. Nie zabrzęczały złote suwereny w odpowiedzi, nie zaszeleściły banknoty, aby dowieść bogactw, których byłaby królową.

— Ubóstwiana, oddaję ci życie. Mój dom rodzinny, moje oszczędności są twoje. Nie odmawiaj mi. Zadługo czekałem na tę chwilę...

Był to ustęp z owej właśnie książki, sentymentalnej i słodkiej jak cukierek. „Oszczędności" były jego dodatkiem.

Po jednej z tych scen miłosnych przyszedł mu do głowy pomysł z książką z czytelni. Zofja, bohaterka, w krynolinie i lokach, wybuchająca łkaniem przy każdej okazji, ze swoją zdumiewającą zdolnością do omdlewania, była, jak mu się zdawało, podobna do tych panien, które w młodości widywał i podziwiał zdaleka. Napewno kobieta jego marzeń przeczyta tę właśnie staroświecką książkę.

Wybrał najczulszy ustęp, kiedy Zofja rzuca się na podłogę, szlochając rozpaczliwie, a długie jej włosy zakrywają całą postać. I napisał na marginesie:

„Czy istnieje Zofja, której oczy spoczną na tych słowach? Czy jest dobra i szlachetna, panna czy wdowa? Czy podoba jej się ta książka? Jeśli tak, cze-

kam na nią. Jestem Jerzy Tomkins, kawaler, lat 57, Upton Str. 93, London, S. W. 9. Jestem zdrów, wygląd mam przyzwoity, jestem wstrzemięźliwy. Chcę porozmawiać z nią o ewentualnem małżeństwie. Czy zechce przyjść i zasiąść na złotym fotelu, na którym widywałem ją nieraz w marzeniach. Zapewniam dyskrecję. Od 8 do 11 każdego wieczora będę siedział naprzeciw mego złotego fotela".

Następny miesiąc przeżył w napięciu. Co wieczór oczekiwał stukania do drzwi, które miało poprzedzić wejście Zofji. Zapowiedział pani Harris, że spodziewa się gościa i prosił o zaprowadzenie go natychmiast na górę. Wyraz „pani" nie chciał mu przejść przez gardło i z tego powodu był ciągle napastowany przez natrętnych agentów, chcących sprzedać mu próbki swoich towarów lub wykazać sprawność elektroluxu na jego dywanie. Minął miesiąc, drugi i trzeci. Podniecenie zastąpiła nadzieja, coraz słabsza, a wreszcie pozostała tylko obawa, że nigdy „ona" się nie zjawi.

Pewnego wieczoru zawlókł się do czytelni, chcąc zajrzeć do książki. Nie było jej na półce.

— „Miłość Zofji"? — zapytała panienka, obsługująca czytelników i przerzuciła kartki katalogu. — Ten stary grat. Wyszła z obiegu dwa miesiące temu.

Jakby mizerniejszy i mniejszy jeszcze, niż zazwyczaj, Tomkins potykając się wyszedł. Jego marzenia, jego Zofja przepadły. Pozostała mu tylko samotność. i fotel, który mimo wszystkich skarbów, pozostanie nazawsze pusty. Przetarł załzawione oczy.

W tydzień potem otrzymał list.

„Szanowny Panie! (czytał). Może pan będzie łaskaw być na peronie Nr. 3 na stacji King's Cross jutro (w piątek) o 9-ej wieczorem. Może się spóźnię, ale proszę czekać. Mam coś ważnego do powiedzenia panu. O niej. Pozna mnie pan po dużym czerwonym gwoździku. Proszę mi nie zrobić zawodu. Jej Brat".

Adresu swego nadawca nie podał.

Nazajutrz niski pan wskoczył do omnibusu, jadącego w kierunku stacji. Nie wyglądał mizernie ani słabo. Krew, krążąca szybko, zaczerwieniła mu policzki, dała mu błysk w oku. Na przygnębionej twarzy zakwitł promienny uśmiech.

Wyskakując z omnibusu, machał rękami zawadjacko. Czuł się młody i przedsiębiorczy. Rzuciwszy okiem na świecące lakierki, dojrzał błysk szpilki w krawacie. Jestem szykowny, pomyślał.

W jego pokoju tymczasem nieogolony, ponury człowiek w sportowej czapce i młody chłopak o dość przyzwoitym wyglądzie, zręcznie rozbierali fotele na kawałki, a banknoty i monety znalezione w jednym z nich składali do worka. Po pewnym czasie opuścili pokój przez to samo okno, przez które weszli i pani Harris wracająca z mężem z kina straciła okazję zaznajomienia się z nimi.

Złamany i oszołomiony Tomkins wrócił o pierwszej w nocy po nadaremnem oczekiwaniu osobnika z czerwonym gwoździkiem i omal nie padł rażony apopleksją, gdy po przekręceniu kontaktu zobaczył zniszczenie panujące w swoim pokoju. Jęcząc głośno, zatoczył się koło szczątków swego złotego fotela, a znalazłszy tajną skrytkę rozerwaną, zwalił się na ziemię zrozpaczony.

Po chwili, przetarłszy zamglone oczy, ujrzał kawałek papieru, przypięty do grzbietu tego, co było niegdyś pięknym gabinetowym fotelem. Odcyfrował następujące słowa, napisane ołówkiem:



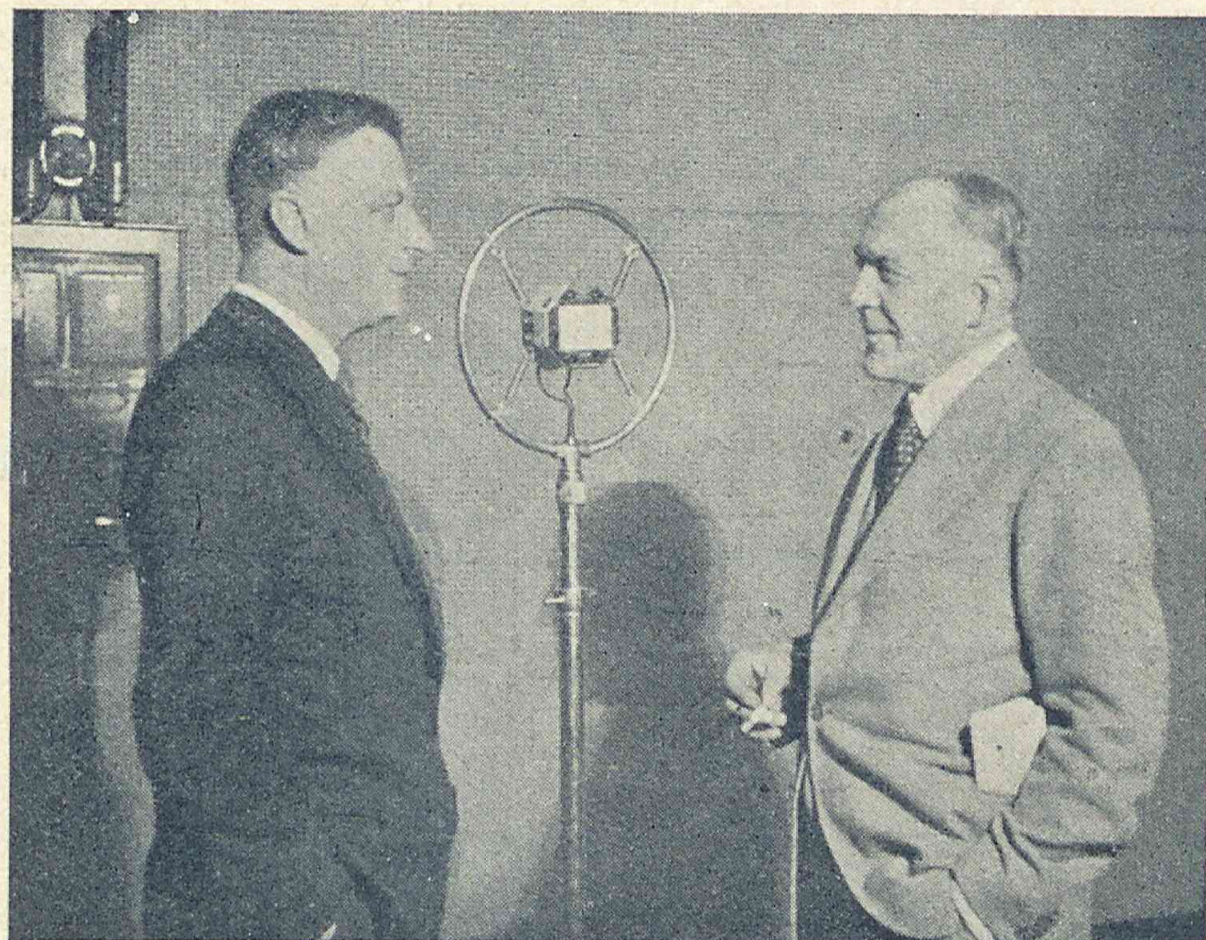
„Kochany Jureczku! Sprzykrzyło mi się czekać na stacji, więc przyszłam tu w towarzystwie pewnego znajomego. Odnaleźliśmy złoty fotel i przekonaliśmy się, że nie jesteś z tych, co to nabierają niewinne dziewczęta. Liczyliśmy na więcej, niż te marne 2.650 f. st. Może i jest więcej, nie było czasu na dokładne liczenie. Książkę przeczytałam w Dartmoor, zawsze przysyłają nam wszelkie śmiecie. Nie czekaj na mnie wieczorami. Widziałam twoją fotografję nad kominkiem i nie byłam zachwycona. Całuję cię, Zofja".

P. S. List ten napisał mój młody przyjaciel, więc policji nie uda się nic wywęszyć".

— Co za głupiec, co za głupiec! — znęcał się sam nad sobą.

Odwrócił pożółkły papier. W samym środku widniał tytuł: „Miłość Zofji".

Z POLSKIEGO RADJA



Kazimierz Junosza-Stępowski i Marjusz Maszyński w rolach główuych w „Azais", Komedji wystawionej w „Teatrze wyobraźni".

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

KONCERT UTWORÓW KAROLA SZYMANOWSKIEGO
Czwartek — godz. 21.00.

„Kosmetyka na codzień"
piątek — 12.45.

Aleksander Uniński
piątek — 20.15.

Nittman o Stanisławowie
sobota — 19.20.

Polskie melodje i polskie tańce
niedziela — 20.00.

Muzyka flamandzka i niemiecka XVI i XVII stulecia. Transm. z Akwizgranu
niedziela — 19.00.

Konrad Tom
poniedziałek — 15.45.

Co grano i śpiewano w Polsce w XVI wieku
poniedziałek — 21.00.

Pieśni ukraińskie
wtorek — 19.00.

Boy o „blaskach i nędzach króla Voltaire'a"
wtorek — 18.45.

„Spotkanie" — obrazek muzyczny
środa — 16.00.

Mieczysław Fogg
środa — 20.00.

„Obrona Sokratesa" — Platona w „Teatrze Wyobraźni"
czwartek — 17.00.



KŁOPOTY KRÓLA ALFONSA

Zdetronizowany król hiszpański, Alfons XIII, ma zmartwienie rodzinne. Najstarszy jego syn, książę Asturji, zakochał się w pięknej córce plantatora z Kuby — i mimo protestów ojca, ożenił się z nią rok temu. Stracił tytuł książęcy — ale postawił na swojem. Król Alfons miał zmartwienie.

Dziś — młody eks-książę ma dosyć swej żony. Skandal — rozwodzi się! Król Alfons znowu się martwi!

CENY OGŁOSZEŃ W „ŚWIECIE"

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.
WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki
KUPON № 6
ze zniżką 30%
Ważny od 13/XII do 19/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"
KUPON № 6
ze zniżką 50%
Ważny od 13/XII do 19/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY
KUPON № 6
ze zniżką 50%
Ważny od 13/XII do 19/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa